

Posągi naturalnéj wielkości znajdujące się w tumie Poznańskim rysował i rytował A. Dudrak.

POSTRZYŻYNY MIECZYSŁAWA.

W Gnieźnie, w lechickiéj staréj stolicy,
Książe postrzyżyn wyprawiał gody,
W kole kapłanów, w pysznéj świetlicy
Syn Ziemomysła Mieszko stał młody.

Świat ten mu dotąd był nieznajomy
I święte gaje, bogów oblicza,
Bo z łona matki wstał niewidomy,
Dzień mu zakryła noc tajemnicza.

Więc gdy postrzyżyn obrzęd skończony
I goście dzbany spełnili miodu,
Nagle wędrowiec z dalekiéj strony,
Gość nieznanego wchodzi narodu.

Do oczów Mieszka przykłada ręce
I rzecze: „sroga jest twa ślepota,
Ród twój strapiony czołga się w męce,
Lecz ją rozwidni wiara i cnota.“

Mieszko zdumiony roztwiera oczy,
A nie mógł rzeknąć słowa w zachwycie,
Bo blask go wielki nagle otoczy,
I dziwnie piękne powitał życie.

W miarę jak przed nim chmury pierzchały,
Widział on słońce, krzyż w słońca blasku,
Drzewa i kwiaty w świetle zagrały,
Niby w porannéj jutrzenki brzasku.

Świat zadrżał życiem nadobnéj wiosny,
Kiedy mu z oczów spadła zasłona
I śpiew zadźwięczał nad nim radosny,
A krzyż wyciągnął szerzéj ramiona.

Krzyż ów jak drzewo rosnął olbrzymie,
Młodzian w zachwycie pod jego cieniem
Stał patrząc w niebo, a swoje imie
Gwiazd wypisane ujrzał promieniem.

Wielkie i cudne przed nim obrazy
Jak wszechmocnemi powstały słowy,
Niby w dniu pierwszym, świat ten bez skazy,
Gdy się na rozkaz dźwignął Jehowy.

Przy jego boku stanął mąż prawy,
Kość z jego kości, krzyża obrońca,
Syn pierworodny miecza i sławy,
I rzekłbyś, ujrzał anioła gońca.

Z cichych błękitów, z światłości morza
Spływa młodzieniec srebrno skrzydlaty,
Włosy ma złote, czoło jak zorza,
Oczy jak wielkich tajemnic światy.

Miecz trzyma w ręku on brylantowy,
Jak łabędź drzewo obiega krzyża,
Żegna nim ojca i syna głowy,
I z mieczem do stóp drzewa się zniża.

A w tém prześlicznéj urody dziewa,
Z lśniącym szyszakiem na białém czole,
Z palmą i wieńcem płynie i śpiewa,
I w wojowników pląsa już kole.

Widzi to, słyszy, Mieszko zdumiony
I woła: „widzę!“ i za kraj szaty
Chce chwycić gościa, lecz on rozmglony
Jak cień usuwa się w głąb komnaty.

„Ty widzisz!“ ojciec i matka woła,
I biesiadnicy krzykną zdumieni;
Z czarodziejskiego nie śmie wyjść koła,
Bo głos tajemny słyszy w przestrzeni:

„Będziesz wielkiego ojcem narodu,
Ty pierwszy podnieść masz krzyża znamię,
A wśród krwawego w trudach zawodu
Krzyż ten utwierdzi wnuków twych ramię.

Syn, co przy twoim stanie tu boku,
Miecz archanielski, pochwyci w dłonie,
A jak bóg wojny, w gromów obłoku
Wznijdzie bohater w złotéj koronie.

Z krzyżem przekażesz mu miecz i sławę,
Cześć wieków twoje imię okoli,
Syny twe w walce za świętą sprawę
Wyrosną z tego co srodze boli.

Ziarno, co rzucisz w bogatą niwę
Miecz Bolesławów z trudem zaorze,
A bujne kłosy, bo kłosy żywe
Dzielnicę Piastów olśnią jak morze.“

Gdy słowa wróżby nad nim skonały,
Zbudził się Mieszko i zaraz prawi,
Jakie mu cudne widma zagrały;
Ojciec go słucha i błogosławi.

I radość była wielka w świetlicy,
Jeno kapłani mruczą zaklęcia,
Nie śmią ponuréj podnieść źrenicy,
Cud ich i wieszczba trwoży dziecięcia.

Wł. Chomętowski.

USTĘP ZE WSPOMNIEŃ STARCA.

PRZEZ L. S.

Na wielkim sejmie, jak to wiadomo z jego historji, wszczęła się była dyskusja o zniesienie tronu elekcyjnego. Większa część posłów była do téj reformy usposobioną i wymownemi głosy zalecała na następcę po Stanisławie-Auguście, a razem na założyciela nowéj dynastji, elektora saskiego.

Kiedy więc stanęła uchwała odwołania się do zdania narodu, mnóstwo obywateli

bawiących wówczas w Warszawie, rozjechało się po prowincjach na mające się niebawem zebrać sejmiki po województwach, ażeby w téj myśli usposabiać umysły szlachty, lub téż, stósownie jak kto do któréj partji należał, rozsiewać nieufność ku temu projektowi i łatwowiernych straszyć utratą klejnotu wolności.

Dzieląc przekonanie o zbawienności téj reformy, w czém uwagami swemi wspierał mię krewny mój pan Joachim *** jeden z wielkich zwolenników nowéj ustawy, postanowiłem i ja przynieść moją cegiełkę do wznoszącéj się budowy; jakož lubo mię zatrzymywały różne przyjemności w stolicy, porzuciłem wszystko dla publiki i zabrawszy się z nim, ruszyliśmy razem do Opatowa na termin sejmiku. Nie wielka ta mieścina nie mogła prawie pomieścić zjeżdzających się obywateli z całego województwa sandomierskiego. Będąc jedni z najpóźniéj przybyłych, zaledwie mogliśmy znaleźć lichą stancyjkę u żyda, za którą kazał nam, jak za elegancki apartament w stolicy, zapłacić.

Starożytna kolegjata opatowska z przepysznemi nagrobkami Szydłowieckich, służyła starym obyczajem, za miejsce zgromadzeń sejmowych. Jako obywatel wiślickiego powiatu, należącego wówczas do województwa sandomierskiego (rzeczka Szkalmierka stanowiła granicę od krakowskiego) usiadłem w ławach przeznaczonych dla wiśliczan, a obok mnie siadł mój krewny pan Joachim, używający wielkiéj wziętości w województwie.

Zwykłym trybem, krótką przemową zagajono posiedzenie, wystawiając w niéj smutne położenie i potrzeby kraju, poczém zabierano różne głosy ściągające się mniéj więcéj do téj materji. Niektórzy odzywali się zwięźle i wcale do rzeczy, choć często były powoływania się na prawa kardynalne, te źrenice wolności; lecz ile sobie przypominam, omal nie usnąłem z nudów, gdy wystąpił z perorą pan D.... podkomorzy Sandomierski, która trwała dwie dobre godziny. Na nieszczęście moje nie wszyscy pokazywali takie do snu usposobienie, owszem, brzmiące słówka starannie wyszukane, efektowie ustawione, zaokrąglone cycerońskie perjody przekładane jak konfiturą jakim wierszem z Eneidy lub Horacego, a do tego organ silny i dźwięczny krasomówcy, niezmiernie podobały się zebranéj szlachcie, która często wtórowała okrzykiem zadowolenia, powtarzając: Oto wyciął mowę nasz podkomorzy! tomi swada! gada jak Złotousty! — Widać że ja, dziecko nowéj epoki, nie umiałem się już poznać na staropolskiéj swadzie, piękne słówka, gładkie perjody nieimponowały mi wcale; szukałem treści, ale jéj znaleźć nie mogłem. Jakož gdy się ta sążnista oracja skończyła, a mówca wrócił na swoje miejsce, gdzie go otoczył rój admiratorów składających mu powinszowania, przyznające mu palmę wymowy razem z Demostenesem i Cyceronem, spytałem pocichu pana Joachima:— powiedz mi kuzynku, czego on chciał i o czém mówił właściwie?

Na to pan Joachim: — czego chciał? możnaby przypuszczać że i mówca sam nie wié, bo gdyby wiedział, dla czegóżby i nam tego udzielić nieraczył? Jednakowož niesądź go podług jego mowy; zacny to obywatel i nie w ciemię bity, tylko, jak to mówią, spolitykował, to jest: nie chciał się wygadać, aby przeciwnego stronnictwa nieobruszył na siebie...

— Rozumiem; nakarmił ich wiatrem, a oni mu za to dziękują jak za dobry kawał pieczeni....

Roześmiał się pan Joachim na ten koncept i dodał: — Wy młodzi niepojmujecie już ducha staréj szlachty, która wprzódy starała się pozyskać umysły ogółu, zanim śmiała wystąpić z jakiém zdaniem. Dla tego to w ich mowach było tyle dalekich omówień, tak z lekka dotykano kwestji, tak modyfikowano zaraz śmielsze wyrażenia. Szło o to żeby i tego ująć i przeciwnika nieobrazić; więc jednych i drugich zalewano słów potokiem, motano argumentami i wywodami, że w końcu jeśli nie wszyscy byli przekonani i oświeceni o stanie rzeczy, to byli ujęci dla mowcy, który tém samém stawał się popularnym.

— Ależ, przerwałem, w dzisiejszém położeniu szkoda czasu i mniemam, że daleko lepiéj kwestję wziąść za rogi, niż objeżdżać ją z daleka i ostrożnie jak niedźwiedzia w legowisku?

— Nie przeczę, przerwał pan Joachim, ale każdy wiek ma swoje wymagania; nasz gorętszy nié ma czasu na perjody cycerońskie. Masz dowód na mówcy który teraz głos zabrał; słyszysz jak tnie dobitnie i węzłowato.

Umilkliśmy przysłuchując się trafnie zestawionym argumentom o potrzebie zaprowadzenia dziedzicznego tronu, które lubo zdawały się trafiać do przekonania większości, jednakowoż nie obudzały takiego entuzjazmu, jak szumne amplifikacje poprzedniego mowcy. Jaki taki wygadawszy się, gdy materja zdała się być wyczerpaną, ztąd i owąd ozwały się głosy: do kréskowania! do kréskowania! I przystąpiono do téj czynności porządkiem powiatów.

Powiaty: kielecki, sandomierski, chęciński, opoczyński i ziemia stężycka złożone po większéj części z samych posesjonatów, jednomyślnie dały głosy za sukcesją tronu i królem saskim. W końcu przyszła kolej wotowania na powiat radomski, złożony po większéj części z drobnéj, tak zwanéj chodaczkowéj szlachty, która w znacznéj liczbie przybyła na sejmik; lecz że nie jednego nie byłoby stać na podróż kilkunastomilową, cóż robi Jacek Małachowski, kanclerz W. koronny? Oto ów pan mający tam znaczne dobra, a zatém i drobną szlachtę po sobie, każe ją wsadzić na fornalki i wieźć do Opatowa, karmiąc i pojąc przez drogę. Jako stronnik dawnego nierządu, mniemał że zalawszy tą hołotą sejmik, zwali propozycje Stanów sejmujących. Tłuszcza ta oddawna przywykła służyć za narzędzie widokom magnatów, wprowadzoną była do kościoła pod przewództwem niejakiego Jankowskiego, poufnika kanclerskiego, który nią dyrygował na umówione znaki. Owóż podczas wotowania wyż wymienionych powiatów, nim jeszcze kolej przyszła na radomskie, przybliża się do mnie jeden z radomian, całkiem mi nieznajomy i pyta z uniżoną prostotą chudeusza, częstując mię tabaczką:

— Jak mi téż wpan radzisz wotować?

W młodzieńczym zapale nieuważając na zézowate oczy i chytrze układną minę szlachcica, wziąłem jego pytanie na serjo i rad w duszy, że mogę zwerbować jednego stronnika, odpowiadam: — jeżeli wpan dobrodziéj nie chcesz za każdém bezkrólewiem mieć dom zrabowany, budynki popalone i sam być poniewieranym i szturchanym, tedy radzę głosować za sukcesją tronu i elektorem saskim....

— A więc jegomość każesz mi za sasem głosować? zazgrzytał judaszowsko, podniesionym głosem:

— Ma się rozumieć, większość jest za tém, radzę trzymać się większości....

— Szlachcic się skłonił, zerknął krzywém okiem i wrócił do swoich ławek. Aż w tym samym prawie momencie między radomianami słyszę głuchy szmer; potém jakieś odgrażania się i wrzawę którą tłum drobnéj szlachty podnosi, waląc się ku mojéj stronie z dobytemi szerpetynami i odgrażając posiekaniem mię w kawałki.

— A to za co? pytają wiśliczanie zasłaniając mię szablami.

— Za co? odpowiada tłum — oto ten wasz — tu wskazano na mnie — zgwałcił obrady przekupując jednego z wotujących.

— Kłamstwo! krzyczą wiśliczanie — żadnego przekupstwa nie było.

— Przekupił! przekupił! wrzeszczy radomskie; ja zaś widząc o co chodzi, dobyłem głosu i tłomaczę się że mi wolno było zdanie swoje objawić; przecież wolność opinji nie jest przekupstwem.

Robi się zamieszanie w kościele, wszystko wylatuje z ławek i pcha się ku mnie. Stronnictwo nasze silniejsze oddziela mię od napastników i kilka głosów górujących nad wrzawą występuje wyzywająco: — kto rzucił potwarz niech stanie do oczu, prosimy!

Ale winowajcę trudno było z kupy wyciągnąć; pewnie schował się pod ławę, lub chyłkiem wyniósł z kościoła - mimo tego wciąż ucierano się na słowa z radomianami i ledwo w godzinę zdołano porządek przywrócić.

Był to zamach partji przeciwnéj chcącéj doprowadzić do zerwania sejmiku. Nieudała się jednak intryga; raz, że większość była po naszéj stronie, podrugie że żaden z rozsądniejszych radomian nie wierzył w to przekupstwo chytrze podsunięte; ja zaś sam przed własném sumieniem najlepiéj byłem usprawiedliwiony, albowiem Warszawa tak pochłonęła moje zasoby pienię-

żne, że wyjeżdżając do Opatowa, nie miałem przy duszy tylko dwózłotówkę, a koszta podróży i utrzymania podejmował mój krewny.

Przy obrachunku wotów okazało się nakoniec, że radomskie wiedzione przez Małachowskiego kanclerza dało głosy za tronem elekcyjnym, ale mając przeciw sobie sześć innych powiatów wotujących za sukcesją nie utrzymało się; zatém w województwie sandomierskiém wielką większością przeszła propozycja co do dziedziczności tronu.

Dowiedziałem się późniéj że na podobnych sejmikach w innych miejscach nie obeszło się bez hałasów, a nawet krwawszych scen niż powyżéj opisane, *quorum pars magna fui.* — Adherenci starego porządku, a raczéj nieporządku, rozbieżawszy się na wszystkie strony fomentowali drobną szlachtę, strasząc ją utratą prerogatyw jéj służących; przecież wpływ światlejszych i gorliwszych, w wielu miejscach umiał przeprowadzić swoje zamiary, choć często z narażeniem życia.

Po skończonym sejmiku wróciłem do domu, lecz będąc raz wciągniętym w czynność obywatelską, nie mogłem się osiedzieć przy ciepłém piwku. Rada nieustająca rozwiązaną została na d. 19 Stycznia 1789 r. uchwałą sejmu. Owóż po zwaleniu téj rady sejm pouchwalał komisje cywilno-wojskowe, jako władzę pośrednią, czynną po województwach i kwoli temu zwołane sejmiki powiatowe miały wybierać urzędników. Jako posesjonat w województwie sandomierskiém, w powiecie wiślickim, byłem jednym z wybranych do komissji. Graniczący zaś powiat sandomiérski podobne odbył u siebie wybory. Gdy prawo mieć chciało, aby oba te powiaty reprezentowane były przez jeden urząd rezydujący w Szydłowie, którego starostą był Maciéj Sołtyk wojewoda sandomiérski, przeto tam zjeżdżaliśmy się na kadencje. Podupadła ta mieścina nie miała jednéj przyzwoitéj gospody żeby się uczciwie pomieścić, trzeba było szukać sobie kwatery po chłopskich chałupach. Ja sam w jakimś dworku na uboczy, z trudnością znalazłem jedną izdebkę z wygniłą podłogą, a ludzie moi spali po stodołach. Żeby zaś posiedzenia komissji mogły się gdzie odbywać, wybudował pan starosta na prędce w miejscu, kędy stał niegdyś zamek Kazimiérza W. obszerny drewniany dworzec. Tam téż schodziło się codziennie grono obywatelskich urzędników i pracowało po biórach z nierównie większą gorliwością niż oficjaliści skarbowi pracować zwykli. Było nas ogółem dwudziestu czterech komisarzy, którzy kadencjami do Szydłowa zjeżdżali się, w taki sposób, że na każdego nie więcéj jak po ośm tygodni do roku przypadało.

Ponieważ kiedy to piszę, żaden już z kolegów z któremi urzędowałem nie żyje, przeto wypisuję ich nazwiska mogące być miłém dla ich wnuków wspomnieniem. Z powiatu sandomiérskiego byli następujący obywatele: Kochanowski chor. sandom. ze Szczecna, Józefat Chomętowski z Niedrzwic, Malicki kapitan wysłużony (dyssydent), Jasiński kapitan z Bidzin, Dembiński miecznik sandomiérski, Moszyński z Łoniowa, Dobrzański z Garbacza, Szczepanowski, ks. Niegolewski opat Jędrzejowski i parę jeszcze których nie pamiętam.

Z powiatu wiślickiego był:

Sołtyk wojew. sandom., Sołtyk kasztelan wiślicki, Wielopolski Józef, Tarnowski Stanisław, Gołuchowski podczaszy wiślicki, ks. Puszet kustosz wiślicki, Puszet brat jego z Nizin, Gembarzewski por. z pułku Czapskiego i t. d.

Duchem czasu ożywieni, zgodni, wesoło pracujący przeżyliśmy ze sobą najszczęśliwsze chwile życia. Uważałem iż przez to ciągłe zatrudnienie, systematyczne pilnowanie godzin, młode głowy nawet poważniały. Panicze chodzący zwykle samopas i rozpuszczeni jak bicz dziadowski, zaczęli oglądać się na nas i również garnęli się do pracy, która obznajamiając z rzeczywistością, wybija z głowy niepotrzebne fantazje. Zdrowy praktyczny rozum powoli zajmował miejsce złudzeń lub namiętnych szałów, wylęgających się prawie zawsze w gnuśném i bezcelowém życiu.

Rejentem kancelarji był Joachim Różycki; pod nim pracowało wiele młodzieży w charakterze kancelistów i nabierało wprawy w urzędowaniu.

Obowiązkiem komissji naszéj było zaprowadzić porządki i pewien organizm

w téj części kraju; następnie egzekwować podatki, na nowo układać kadastr dymów podatkujących, wybierać rekruta, rozsądzać zatargi między cywilnymi a wojskowymi, korespondować z komisjami rządowemi świeżo ustanowionemi, podawać projekta do ulepszeń policyjnych i t. d. Zgoła w naszych rękach spoczywała władza administracyjna województwa. Będąc najmłodszym a podobnoć i najpracowitszym z kadencji mojéj, trzymałem zawsze pióro i wraz z kolegami zaprawiałem się do interesów krajowych o których dotąd małe mieliśmy wyobrażenie, żyjąc obyczajem ówczesnym z dnia na dzień w niezmordowaném próżniactwie, wyglądając czegoś nadzwyczajnego na horyzoncie. Dopiero regularna praca nauczyła nas, że dla głupców i próżniaków cuda się nie dzieją.

W ciągu mego urzędowania w téj komisji cywilno-wojskowéj zdarzył się smutny i osobliwy wypadek, malujący przesądną ciemnotę panującą w niższych klasach.

Nie dawno temu, czytano mi *z Przyjaciela Ludu* wychodzącego w Lesznie, opisanie spalenia czternastu czarownic w Donuhowie w powiecie ostrzeszowskim dokonane w r. 1776. Akt ten opisany z najdrobniejszemi szczegółami, wzbudzał prawie niedowierzanie w czytelnikach dzisiejszego wieku; ledwo też wyperswadować im mogłem że własnemi oczyma patrzałem na sprawców podobnego czynu i sam badałem ich z urzędu.

Rok 1789 pamiętny nadzwyczaj ostrą zimą, dokuczył w następném lecie równie pamiętną suszą; brak deszczu przez wiele tygodni zagrażał głodem; wypalone łany lichy plon obiecywały. Prosty gmin i duchowieństwo mianowicie klasztorne, mało co wtedy światlejsze od gminu, przypisywało czarom tę klęskę i niekiedy nawet brało ją za tekst swoich nauk i kazań. Każda najgrubsza niedorzeczność, byle jéj dać przyczynę, jeszcze tak namacalną jak fenomena natury, odrazu znachodzi wiarę między pospólstwem; owóż na wiele mil do koła niczemu nieprzypisywano posuszy tylko sprawie djabelskiéj. Ekonom z Zagości, wsi leżącéj niepodal od mego majątku, zdesperowany snać brakiem deszczu, a wierzący w domowe sekreta, sprowadził sobie do pomocy dwóch Reformatów i połapawszy podejrzane o czary kobiety, kazał je pławić na głębi. — Łatwo wystawić sobie oburzenie się moje i wstyd, że coś podobnego mogło się trafić przy schyłku tak filozoficznego wieku jak nasz. Zbadawszy rzecz całą, natychmiast z najskrupulatniejszą dokładnością opisałem wypadek i posłałem tamecznemu staroście; był nim Feliks Łubieński starosta nakielski podtenczas poseł z województwa kaliskiego, a za księstwa warszawskiego minister sprawiedliwości. Gdy go doszedł mój list, zaraz odprawił ekonoma, a moje doniesienie jako ciekawy dokument rospuścił po Warszawie. Z drugiéj strony, z obowiązku mego urzędu, zrobiłem wniosek do komisji cywilno-wojskowéj w tym sensie, który dokładniéj tę sprawę wyjaśnia:

„Zdarzony wypadek pod d. 19 Maja na parafji zasiadającego w komplecie kolegi, gdy takiéj jest istoty, że przez zaniedbanie stósownych środków, wkrótceby się odradzał, czuję być przeto moim obowiązkiem donieść o nim prześwietnéj komisji.

„Panuje w téj okolicy susza z wielką dla urodzajów szkodą, któréj gmin prosty nieszukając w naturze przyczyny, zdarzone skutki, przypisuje przez zabytek pogańskich jeszcze zabobonów czarownicom, które podług jego mniemania deszcz djabłu przedać miały. Starostwa Zagojskiego ekonom, zamiast oświecenia prostactwa, podobnie z nim przekonany, osądziwszy że tylko płeć niewieścia może z djabłem wchodzić w umowy, pospędzał wszystkie ze wsiów kobiety i one bez braku, po cztery w kupie skrępowane, końcem otrzymania rychłego deszczu, nielitościwie na głębię rzucać kazał. Instynkt każdemu stworzeniu wrodzony ratowania się w niebezpieczeństwie, sprawił, że niektóre z tych nieszczęśliwych ofiar przesądu, pasując się ze śmiercią, dłużéj niż reszta na wodzie utrzymywały się. Ale ta sama niewinna własnego życia obrona, od dzikiego tyrana poczytywaną była za występek. Takie bowiem podług mniemania jego uznane będąc za czarownice, wyciągnięte z wody i na pół żywe, gdy za urojone przewinienie wskazane były na chłostę dopókiby deszcz niepadał, doznawały jeszcze obelg od chłopstwa za-

wziętego przeciw mniemanym sprawczyniom suszy.

„Gdyby się była przynajmniéj na tém zakończyła ta scena, ale po wydobyciu z wody, jedna z kobiet częścią z przestrachu, częścią z mocnego skrępowania, częścią nawet z samego pasowania się ze śmiercią, ciężko zachorzała, druga umarła nazajutrz, a dwie wyglądają śmierci bez nadziei życia zostając.

„Na nieszczęście rodzaju ludzkiego, deszcz się następnego dnia opuścił i bardziéj jeszcze prostaków utwierdził w błędzie, a że ziemi spragnionéj rzęsistszego jeszcze deszczu potrzeba, obawiać się należy aby częściéj nie robiono téj próby, równie kraj, ludzkość i wiek nasz hańbiącéj. Ten bowiem nierostropny ekonomski postępek, z któréjkolwiek bądź strony uważany, nie może być obojętnym. Gdy nie tylko prawo r. 1776 przestąpione, które zabraniając wszelkiéj odtąd akcji prawnéj o czarodziejstwo, tém samém oneż za niepodobne uznaje, nietylko zgwałcone na niewinnych bezpieczeństwo osoby, ale jeszcze zabójstwa się stał winnym. Zgrzeszył tedy przeciwko prawu; zgrzeszył przeciw ludzkości; zgrzeszył nakoniec przeciwko narodowi przynosząc mu, przez czynność tak dziką, na pograniczu (Galicji austrjackiéj) popełnioną, zakał u cudzoziemców którzy i tak w zły sposób o nas uprzedzeni, za pojedyncze przewinienie potwarzać w perjodycznych pismach kraj cały mogą o przesądy i zabobony, któreśmy pierwéj porzucili niż oni sami.

„Końcem tedy prędszego złemu zaradzenia, w niebytności Wjmci pana Chlebowskiego, dzierżawcy rzeczonego starostwa, któryby był niechybnie na podobne nie ze zwolił bezprawia, pisałem do samego starosty, dzisiaj chwalebnie z województwa sieradzkiego posłującego, którego światło i serce do ludzkości skłonione, zaręcza, że nie tylko ekonomowi swemu zaleci, ażeby zaprzestał urzędu sprawować inkwizytora, tak słusznie od ojców naszych znienawidzonego, ale jeszcze czas sobie potemu upatrzywszy (gdy tyle już ubocznych, a mniéj daleko ważnych wciskało się materji w obrady sejmowe) wyrobi u najjaśniejszych Stanów dokładniejszy prawa r. 1776 opis, z wymierzeniem kary na tych zabobonnych tyranów, a tém samém uwolni przynajmniéj od tego rodzaju prześladowania tę klasę ludzi, która nie doznając rządowéj opieki, już i tak rozliczne i samowolne ponosi od podstarościch uciski.

„Ze wszystkich jednak sposobów, tenby był najskuteczniejszy, ażeby uleczyć przekonanie, oświecić w téj mierze ciemne prostactwo, które że zupełnie zawisło od duchowieństwa mającego zawsze moc wielką nad umysłem gminu — wypada przeto nieodbita potrzeba, aby prześwietna komisja zaprosiła okólnym listem Jmci księży plebanów do wykonania tego chrześcijańskiego dzieła. Niechaj w naukach przekładają owieczkom swoim, że te gusła dawno już wywołane z całego chrześcijaństwa, równie uwłaczają Wszechmocności Boskiéj, jakoteż rozumowi zdrowemu i miłości bliźniego są przeciwne; a pastwienie się nad niewinnemi za mniemane przestępstwo, jest zbrodnią, która podług przepisów religji i praw krajowych, sprawiedliwą na prześladowców ludzkiego rodzaju ściągnąć powinna karę.“

Że się coś podobnego zdarzyło między prostym ludem pod powagą ekonomską, nié ma jeszcze czemu się tak dziwić, ani nas za to potępiać, tém mniéj, że o te czasy w Niemczech gdzie światło rozumu miało przyćmić nietylko wiarę objawioną, ale i zabobon, ów robaczliwy owoc fanatyzmu, przytrafiały się podobno gorszące praktyki, nacechowane może większą jeszcze srogością prześladowania. Na Szląsku, na Pomorzu pruskiém może systematyczniéj jeszcze niż u nas funkcjonował *maleus maleficorum*. Co zaś najdotkliwiéj wszystkich światlejszych obeszło, to drugie podobne zdarzenie w obywatelskim, prawie magnackim domu. Tegoż samego suchego lata w Zrzyczu, wsi leżącéj w dzisiejszym obwodzie stopnickim, a należącéj do pewnéj pani miecznikowéj, któréj nazwiska dla żyjących potomków nie chcę wymienić, stało się nadużycie, będące niejako dopełnieniem ekonomskiego excesu.

Pani miecznikowa, dama dobrze wychowana, matka światłych synów i żyjąca w wieku chlubiącym się ze zdeptania zabobonu i przesądu, hołdowała przecież wyobrażeniom najciemniejszego gminu. Gdy

bowiem posusza mimo codziennych litanji i antyfon o deszcz, nielitościwie smażyła jéj łany, wpadła na domysł nie przynoszący bynajmniéj zaszczytu jéj pobożności i wierze, że kiedy modlitwa nie sprowadza deszczu, widać że czary muszą być w robocie, a djabeł czując się mocniejszym nie daje za wygranę. Przypisawszy tedy szatańskiéj sprawie ową posuszę, rozpoczęła zwykłe polowanie na czarownice, które odbywszy próbę wodną, ochłostane porządnie, nie sprowadzały jednak pożądanego deszczu. W tym kłopocie wezwany został na radę jakiś zawołany exorcysta i ten za kilka baranów i korcy owsa, zwąchał co się święci i doradził pani miecznikowéj, ażeby *na despekt djabłu* (jego własny termin) nie już stare baby, które na ich szczęście wszystkie tonęły, ale młode dziewki podejrzane o czary wziąść na próbę. To daje miarę jaka moc zabobonu musiała być dawniéj, kiedy na skonaniu swojém wyprawiała jeszcze takie potworności! Czy po dokonanym dziko-pogańskim obrzędzie, deszcz padał? Nie umiem powiedzieć; być może że się to stało w porę kiedy miał padać. Koniec końców cała ta awantura doniosła się do komisji cywilno-wojskowéj, właśnie podczas mojéj kadencji. Natychmiast komisja wysłała na miejsce dla zrobienia wywodu słownego, a gdy czyn sprawdzony został, napisaliśmy do pana Stanisława Małachowskiego marszałka sejmowego, wystawując w najżywszych kolorach powtórne to nadużycie zaszłe w naszém województwie i zapytując go czyli komisja niecałkiem jeszcze uorganizowana mogła się z urzędu wdawać w tę sprawę?

Tymczasem nieczekając na odpowiedź, instygator komisji naszéj, pozwał panią miecznikowę do sądów grodzkich i proces rozpoczął; ale krewni jéj mieli w Warszawie tak dobre plecy, iż dla utajenia przed publicznością przestępstwa, a raczéj dla uduszenia sprawy i puszczenia sprawczyni bezkarnie, odesłano cały proces do sądów biskupich z tytułu niby bałwochwalczego obrzędu; chociaż podobne bałwochwalcze obrzędy od wielu wieków niepraktykowały się u nas. Koniec końców duchowieństwo zatarło haniebny proces. Jednakowoż ślad całego czynu protokularnie spisany, ciekawy szperacz mógłby znaleźć w Kielcach, w aktach kommisji cywilno-wojskowéj powiatu sandomiérskiego i wiślickiego, jeżeli takowe jeszcze się tam znajdują.

Rozgłos dany w swoim czasie tym dwóm zdarzeniom, wystąpienie urzędu przeciw nadużyciu, zadały podobnoć ostatni cios zabobonowi. Wprawdzie późniéj tu i owdzie pozwalano sobie, podobnych próbek z czarownicami, ale ceremonja odbywała się skrycie i ledwo w okolicy o tém przebąkiwano. Zazwyczaj bywała to ekonomska sprawka w porozumieniu z gromadą. Nikt się na to nie skarżył, więc i sam czyn wpadał jak kamień w wodę.

OBRONA DOBRZYŃSKIEGO ZAMKU.

Zaledwie Władysław Jagiełło wykupił od Krzyżaków ziemię Dobrzyńską, którą im zastawił za 40,000 zł. aż nadto pamiętny w dziejach siostrzeniec króla Ludwika, Władysław Opolski, kiedy już nowa nad tą krainą zawisła burza. Ówczesny mistrz krzyżacki, Ulrych Jungingen, powziąwszy myśl zawojowania Polski i Litwy, zaczął ściągać ogromne wojska z całych Niemiec i zaraz w roku 1409 wtargnął do ziemi Dobrzyńskiéj i obległ zamek miasta Dobrzynia. Dowodził tamtejszą załogą Jan z Płomian Chełmicki, a na wieść o zbliżaniu się nieprzyjaciela pięciu krewnych tegoż imienia opuszczając żony i dzieci zbiegło się do niego. Wprawdzie król Jagiełło sposobił się także do wojny, ale szybki ten napad znajdował go nie dość jeszcze przygotowanym, trzeba więc było stawiać zapamiętały opór nieprzyjacielowi, bodajby wał z trupów usłany miał być tą tamą opóźniającą dalszy jego pochód. Tak zro-

zumiała obowiązek swój Dobrzyńska załoga. Wśród konania ostatnich z jéj hufcu wojowników, wpadli krzyżacy do zamku paląc i niszcząc wszystko.

W taki to sposób sześciu Chełmickich którzy tam polegli, położyli podwalinę czegrodzeniem tych co gorliwie służyli krajowi. Skutkiem tego uczynił darowiznę sukcessorom dowódzcy załogi Dobrzyńskiéj, starosty Jana Chełmickiego, z dóbr narodowych przyległych jego wsi dziedzicznéj Płomiany. Darowiznę tę ponowił syn Ja-



Obrona zamku Dobrzyń przeciw Krzyżakom przez starostę Jana Chełmickiego, według rysunku Sypniewskiego odbitego w litografji Fajansa.

ści swego imienia i dostatków rodu, który się stał jednym z tych licznych a silnych spójnością filarów, na których się niegdyś opierała nasza społeczna organizacja. Kiedy Władysław Jagiełło zakończył sprawę z krzyżakami, zajął się wkrótce wynagiełły Kazimierz, przywilejem danym na osobę Jakóba Chełmickiego, Podkomorzego Wyszogrodzkiego, z daty dnia nawrócenia Śgo Pawła 1455 r. w Brześciu Kujawskim. Potwierdzony następnie przez królów Stefana Batorego, Zygmunta III i Sta-

nisława Augusta w Warszawie 30 Maja 1776 r. przechowany został w rodzinie [1]) któréj wprawdzie nie widzimy w dziejach aby rozpierała się wyniośle obok tronu na krzesłach senatorskich, ale też i nie spadła do nizin nikczemnych nadużyć i zdrady, lecz zacnie sprawowanemi posługami obywatelskiemi, składała się wytrwale każdém pokoleniem na najjędrniejszą treść żywota narodowego. Jeden z obecnie żyjących Chełmickich, poważny wiekiem i osobistą zasługą, kazał zrobić rysunek przedstawiający obronę zamku Dobrzynia i rozdał go w litografjach pomiędzy członków rodziny, bynajmniéj nie na podsycenie rodowéj pychy, ale jako przypomnienie, że to co urosło poświęceniem, jedynie tylko nieustającémi zasługami tegoż rodzaju podtrzymaném być może. Historja społeczeństw nas uczy, że jeżeli często znakomite fortuny wychodziły z prostéj linji i dostawały się w inne ręce, nierównie częściéj dziedzictwo wielkich przymiotów i zasług, wymykało się z pod obszernego płaszcza przywilejów, w cieniu którego zdrzémało się niedołęztwo, a padło na nieznaną, ubożuchną strzechę i jak ów ognisty znak łaski Ducha Śgo namaściło na wzniosłe czyny wybrańca. Otóż kto dbały jest o tę najlepszą część dziedzictwa przekazanego od ojców w spuściznie, słusznie robi gdy źródło jego i obowiązki z niego wypływające, przypomina obecnemu pokoleniu. Czas bowiem bywa nieubłagany przy porachunku, co widzimy z niezachwianéj logiki dziejów.

Od tych pięknych podań przynoszących nam z ubiegłych wieków tajemnicę uroku szlachetczyzny, jaka przepaść do późniejszych wybryków swawoli szlacheckiéj!.... Słusznie powiedziała Deotyma w swéj pieśni o dwunastu wojewodach:

Bo wszystko przy źródle życia
Jest czyściejsze od kryształu,
Lecz gdy swe rozszerzy brzegi,
Gdy wiosenne chłonąc śniegi
W pozorną wspaniałość rośnie,
Wtedy wylew grzmi żałośnie,
I z pod srebrnych fal nawału
Czerni się muł nadużycia.

J. Śmigielska.

[1]) Opierając się zapewne na wiadomości z tego przywileju autorowie *Starożytnéj Polski* podali mylnie, że Jakób z Płomian dowodził załogą zamku Dobrzynia.

POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH DICKENSA.

(Dokończenie.)

Straszny trybunał, przed którym stał oskarżony, nie szanował żadnych przepisów prawa; wszystkie formy sądownictwa pogwałciła i podeptała rewolucja, któréj jedyném prawem była nieubłagana zemsta. Trybunał składał się z pięciu sędziów, w gronie których zasiadał człowiek krwiożerczy, z wzrokiem kannibala, imieniem Jakób Trzeci. Widząc tych pięciu sędziów i stojącego przed niemi więźnia, można było zrobić przystósowanie, że sfora psów wściekłych miała czynić sąd nad jeleniem, który w jéj moc został oddany.

Wszystkie twarze skierowały się ku sędziom, a każda z nich wyrażała nie przebłaganą żądzę krwi i mordu. Oczy widzów spotykały się w tłumie ze znaczącym wyrazem, który był znakiem potępiającego wyroku nad głową więźnia.

Karol Ewremonde, nazwany Darnayem, oswobodzony wczoraj, a oskarżony i wzięty do więzienia tegoż samego dnia powtórnie, stoi obecnie przed sądem i oczekuje wyroku. Oskarżają Ewremonda że jest arystokratą i że pochodzi z rodu tyranów, którzy zawsze byli ciemięzcami ludu. Na mocy wspomnianego oskarżenia, Karol Ewremonde jest winnym śmierci i odtąd w prawném nie żyje już znaczeniu. Temi słowy zakończył swoją odezwę prokurator ludowy.

Prezydujący zapytał czy Karol Ewremonde oskarżony został jawnie czy też sekretnie?

— Jawnie, prezydencie.

— Przez kogo?

— Przez trzy osoby; przez Ernesta Defarge'a właściciela winnego handlu.

— Dobrze.

— Przez Teresę Defarge, jego żonę.

— Dobrze.

— Przez Aleksandra Manette, doktora.

Ogromny gwar powstał w tłumie, z którego wyszedł doktór Manette blady, drżący, a zbliżywszy się do sędziów rzekł:

— Prezydencie, protestuję przeciwko oskarżeniu, które jest haniebną potwarzą i zdradą. Wiecie o tém że ten więzień jest mężem mojéj ukochanéj córki, a zatém droższy mi jest nad życie. Gdzie jest oszust który śmie twierdzić jakobym ja był oskarżycielem mojego dziecięcia?

— Uspokój się obywatelu; mąż twojéj córki może ci być droższym nad życie, ale każdy dobry patrjota powinien przekładać interes rzeczypospolitéj nad wszystko.

Głośne okrzyki i oklaski powitały ostatnie wyrazy prezydującego, który zadzwonił i podniósł głos powtórnie:

— Obywatelu Manette! jeżeliby rzeczpospolita żądała od ciebie ażebyś jedyną dla niéj poświęcił córkę, niepowinienbyś ociągać się ani na chwilę z zadość uczynieniem jéj żądaniom; słuchaj więc końca sprawy cierpliwie.

Wściekłe okrzyki i oklaski rozległy się znowu w tłumie. Doktór Manette usiadł na ławie z drżącemi ustami wodząc błędnym na około wzrokiem, a Łucja przysunęła się bliżéj do jego boku.

Skoro znów cisza nastała w izbie sądowéj wystąpił Defarge i w krótkich opowiedział słowach, jako będąc pokojowcem doktora znajdował się przy jego uwięzieniu, następnie wspomniał o niektórych szczegółach z jego pobytu w Bastylji, nareszcie o obłąkaniu i cierpieniach których doznawał pan Manette po wyjściu z twierdzy.

— Zasłużyłeś się dobrze obywatelu rzeczypospolitéj przy wzięciu Bastylji?

— Tak mi się zdaje, odrzekł Defarge.

Jedna z kobiet wybiegła z tłumu i skrzeczącym zawołała głosem: dla czego nie mówisz że byłeś jednym z najgorliwszych patrjotów? wszak pełniłeś obowiązek kanonjera i znajdowałeś się pomiędzy najpierwszemi, którzy weszli do przeklętéj twierdzy. Wierzajcie mi patrjoci że prawdę mówię!

Kobieta, która w ten sposób chciała podnieść zasługi Defarge'a, była *Zemsta*.

Prezydent zadzwonił i zapytał: opowiedz sam obywatelu co robiłeś podczas wzięcia Bastylji?

— Wiedziałem, rzekł Defarge spoglądając się na żonę która stała poniżéj stopni, na których on się znajdował, wiedziałem że więzień o którym mówiłem przed chwilą był zamknięty w celi Nro sto pięć, w północnéj baszcie. Otóż zaraz po wzięciu twierdzy udałem się do celi, a przejrzawszy w niéj wszystkie zakątki, znalazłem ukryty w kominie papier, zapisany ręką doktora, a który oddałem dzisiaj do waszych rąk prezydencie.

Przeczytajcie pismo o którém mówi obywatel Defarge.

Nastała chwila głuchego milczenia. Oskarżony spoglądał czule na swoją Łucję, a ona patrzyła się na przemiany na niego to znów na ojca. Pani Defarge nie spuszczała ani na chwilę oczów z twarzy więźnia, a pan Defarge patrzył ciągle na swoją małżonkę; oczy zaś prawie wszystkich widzów skierowane były na doktora, który utkwił wzrok osłupiały w osobę czytającego.

Treść pisma była następująca:

„Ja Aleksander Manette, urodzony w Beauvais, nieszczęśliwy lekarz, piszę ten pamiętnik w mojéj smutnéj więziennéj celi, w miesiącu grudniu 1767 roku. Piszę z trudnością i ukradkiem, a pismo moje zachowam w kryjówce którą wyżłobiłem w murze komina.

Już upływa rok dziesiąty mego więzienia, nadzieję oswobodzenia utraciłem już zupełnie; czuję że władze mego umysłu są zagrożone, ale pisząc to, mam jeszcze przytomność i pamięć i mogę ręczyć za wiarogodność moich wspomnień.

Pewnéj miesięcznéj nocy, w końcu miesiąca grudnia 1757 r. przechadzałem się nad brzegiem Sekwany, kiedy przejeżdżał powóz, z którego wyglądał mężczyzna. Skoro mię spostrzegł ów pan wychylający się z karety, kazał zatrzymać woźnicy konie, poczém zwrócił się ku mnie twarzą i pytał czy nie jestem doktorem Manette? Skoro zbliżyłem się do powozu i odpowiedziałem na jego zapytanie, że nazywam się Manette

już ów pan wyskoczył z karety a za nim zaraz wyszedł także z powozu drugi mężczyzna. Obadwaj panowie byli zapewne równego ze mną wieku, a podobieństwo pomiędzy niemi było wielkie.

— Byliśmy w pańskiém pomieszkaniu, rzekł pierwszy z nich, gdzie nam powiedzieli że przechadzasz się zazwyczaj w téj stronie, a więc pojechaliśmy w kierunku który nam służący pana wskazał i cieszymy się z tego mocno że znaleźliśmy go tak prędko. Może raczysz panie doktorze natychmiast wsiąść z nami do powozu?

„Zaproszenie to wymówione było nakazującym tonem, nie miałem więc czasu do namysłu, bo byłem sam jeden i bezbronny a oni trzymali pistolety w rękach. Wszedłem do powozu, a za mną wskoczyli obadwaj panowie i kazali ruszyć woźnicy. Powóz pędził szybko i zatrzymał się dopiero za rogatkami przed samotnym domem. Wysiedliśmy z karety i przeszliśmy przez ogród; skoro zbliżyliśmy się już do drzwi, jeden z moich przewodników zadzwonił, ale czekaliśmy kilka minut zanim nam otworzyli. Pan rozgniewany na służącego, zapewne za to że nie wyszedł dość prędko na jego spotkanie, uderzył go w twarz silnie. Teraz dopiero mogłem się przypatrzyć lepiéj dwóm moim przewodnikom, a podobieństwo pomiędzy niemi było tak wielkie iż wyprowadziłem wniosek, że muszą być braćmi a może nawet bliźniętami. Zaledwie weszedłem do domu, wprowadzono mię do chorego.

„W nędznéj komnacie zarzuconéj barłogiem, leżał na ziemi piękny chłopiec, mogący mieć około lat siedmnastu.

— Jestem doktorem mój chłopcze, powiedz mi co cię boli; postaram się przynieść ulgę twemu cierpieniu, rzekłem nachyliwszy się do niego.

— Zostaw mię w pokoju, nie chcę żadnego lekarstwa.

Pacjent mój leżał na wznak z zaciśniętemi zębami i z dłonią na piersiach; skoro dotknąłem się jego ręki, przekonałem się że pod nią miał nieszczęśliwy chłopiec głęboką ranę, zadaną ostrzem miecza; krew płynęła obficie i życie uchodziło szybko. Spojrzałem się na starszego brata, który patrzał pogardliwie na umierającego chłopca, jak gdyby królik lub zając postrzelony leżał przed nim.

— Jakim sposobem ten nieszczęśliwy chłopiec raniony został tak niebezpiecznie?

— Szalony kundel, niewolnik, ubliżył memu bratu i zmusił go do wydobycia przeciwko niemu miecza. Niezasłużenie wielkiego dostąpił zaszczytu, bo padł na ziemię jak szlachcic, porażony ręką mego brata.

Chłopiec podniósł oczy w górę i rzekł osłabionym cichym głosem: ci dumni panowie jak psów nas biednych traktują; mogą nas krzywdzić, bić i zabijać, ale i my także bywamy dumni czasami.

(Tu następuje opowiadanie krzywd zadanych przez obu braci markizów rodzinie biednego ranionego przez nich chłopca, który rzucił się na pana aby je pomścić. Gdy skończył mówić biedny chory, prosił doktora aby go podniósł żeby raz jeszcze zobaczył twarz swych prześladowców).

„Skoro wypełniłem jego żądanie, pisał daléj pan Manette i dopomogłem podnieść się nieszczęśliwemu chłopcu, roztworzył szeroko oczy, a zwracając się ku markizowi rzekł: „Wzywam cię w dniu ostatecznym na sąd wielkiego Boga, wzywam ciebie i cały twój ród przeklęty. Znaczę cię tym krwawym krzyżem i znaczę nim także twojego brata i wzywam go, jako najgorszego z rodu, do odpowiedzialności za siebie i za każdego z was.“ Kiedy wymawiał ostatnie wyrazy, maczał dwa razy rękę w krwi własnéj i robił nią znak krzyża w powietrzu, potém jeszcze czas pewny pozostawał w téj saméj postawie, ale skoro tylko opuścił rękę, natychmiast zwiesił na piersi głowę, przechylił się na bok i skonał.

„Nazajutrz na progu mego pomieszkania do którego mię odwieziono, znalazłem pod moim adresem pudełko, w którém był rulon złota. Namyślałem się długo nad tém co mi teraz czynić wypada, nakoniec postanowiłem napisać list prywatny do ministra z doniesieniem o wypadku, którego byłem świadkiem, a to z uwagi że podobne wydarzenie długo utajoném być nie może, a skoro prędzéj czy późniéj odkrytém zostanie, wtenczas nie tylko ja sam, ale i inne osoby, mające udział w téj tajemnicy, do odpowiedzialności pociągniętemi być mogą.

„Kiedy zasiadłem do pisania listu, dali mi znać że pewna młoda osoba pragnie widzieć się ze mną; kazałem ją poprosić.

„Młoda i piękna pani którą powitałem w moim pokoju, oświadczyła mi że jest żoną markiza Ewremonda. Nie pamiętam dobrze wszystkich szczegółów, wiem tylko to że dzieje jéj męża były historją znanego mi markiza. Skoro dowiedziała się ta pani, że byłem wezwany do domu jéj męża i że pozostawałem tam aż do skonu nieszczęśliwéj ofiary, przybyła do mnie umyślnie w celu powzięcia niektórych wiadomości, jakoż pragnęła gorąco zająć się losem jedynéj siostry umarłego chłopca ażeby wynagrodzić przynajmniéj w części krzywdy wyrządzone jéj rodzinie. Odpowiedziałem na to, że byłem wprawdzie świadkiem smutnych wydarzeń które zaszły w tych dniach w domu markiza, ale że nie wiem gdzie ona mieszka. Kiedy odprowadzałem żonę markiza do powozu, ta młoda pani pokazała mi trzechletniego chłopca, którego nazwała Karolem i rzekła ze łzami w oczach: „panie mój, dla miłości tego dziecięcia, pragnęłabym gorąco przebłagać jakim miłosiernym czynem gniew Boży, który prędzéj czy późniéj może go dotknąć za grzechy jego ojca!“ Po tych słowach, nieszczęśliwa pożegnała się ze mną i wsiadła do powozu; odtąd nie widziałem jéj już nigdy. Po jéj odjeździe napisałem list do ministra i oddałem do własnych rąk jego. Tegoż samego wieczora przyszedł do mnie mężczyzna czarno ubrany i zażądał ażebym jechał z nim natychmiast na ulicę S[t] Honoré, gdzie pewna osoba niebezpieczną złożona chorobą wzywa mię do siebie; za nim stał drugi człowiek na progu mego pomieszkania i poparł żądanie pierwszego. Pożegnałem się, niestety! po raz ostatni, z najdroższą małżonką i wsiadłem do wskazanego mi powozu. Zaledwie odjechałem pareset kroków od mego domu, nieznajomi mężczyzni którzy przyjechali po mnie, zakneblowali mi usta i związali ręce, poczem powóz zatrzymał się na rogu ulicy i z wielkiém zdziwieniem ujrzałem przed sobą twarze dwóch braci markizów. Starszy z nich przypatrywał mi się pilnie, jak gdyby chciał się przekonać o tożsamości mojéj osoby, potém przesunął przed memi oczami list mój własny, który oddałem ministrowi dzisiejszego poranku, a spaliwszy go natychmiast, kazał ruszyć woźnicy. Za chwilę stanąłem w Bastylji, a dozorcy moi nie wyrzekli już do mnie ani jednego słowa ale oddali mię w ręce stróżów więzienia, którzy wtrącili mię do tego okropnego żyjących istot grobu.

„Gdyby ci bracia sprawcy mojego nieszczęścia, zechcieli przynajmniéj od czasu do czasu donosić mi o losie mojéj najdroższéj małżonki, pomyślałbym wtedy że litość przemawia do ich serca i że Bóg czuwa nad niemi, ale teraz wierzę mocno że znak czerwonego krzyża wyrył klątwę na ich czole i że łaska Boża odstąpiła ich zupełnie. Podobnież jak ów umierający wieśniak, ja, Aleksander Manette, nieszczęśliwy więzień, pisząc ten pamiętnik w ostatniéj nocy tego 1767 roku, pozywam niegodziwych braci z całém ich potomstwem do odpowiedzialności przed sądem przyszłych czasów, a na świadectwo mojéj krzywdy biorę niebo i ziemię.”

Po przeczytaniu tego pisma ogromny gwar powstał w tłumie, a skoro prezydujący podniósł głos i powiedział że dobry przyjaciel rzeczypospolitéj zasługuje na to, ażeby głowa arystokraty ostatniego z rodu jego prześladowców spadła pod mieczem giljotyny, jakoż nie powątpiewa o tém, że tak zacny patrjota, jak doktór Manette, cieszyć się powinien w duszy, że córka jego zostanie wdową po Ewremondzie, wtenczas powstały zewsząd okrzyki szalonéj radości, niby dzikiego patrjotycznego zapału, kiedy przeciwnie uczucie miłosierdzia nie przemówiło ani do jednego serca.

— Jak wam się zdaje, czy wpływ doktora może mu przydać się na co w obecnéj chwili? rzekła z uśmiechem pani Defarge do obok niéj stojącéj *Zemsty*. Ratuj go, ratuj, jeżeli możesz, doktorze!

Każdy sędzia zabierał głos z kolei, a wyrok każdego powitany był grzmotem oklasków.

Ostatecznie zapadł jednomyślny wyrok: Karol Ewremonde jest duszą i ciałem arystokratą, a zatem nieprzyjacielem rzeczypospolitéj i ciemięzcą ludu. Winowajca ma być odprowadzony do Conciergerie, a w przeciągu dwudziestu czterech godzin od chwili ogłoszenia wyroku, powinien być stracony.

VIII.

W pierwszéj chwili, skoro usłyszała Łucja wyrok skazujący na śmierć jéj męża, upadła na ziemię omdlała, ale wkrótce odzyskała przytomność, a myśl, że jest jedyną i ostatnią pociechą Karola tyle dodała jéj siły że powstała sama, a wyciągając ku więźniowi ręce, rzekła ze łzami w oczach: „O Boże, dozwólcie mi obywatele, choć raz go uścisnąć i pożegnać się z nim po raz ostatni!“

Sędziowie już wyszli z komnaty, został się tylko odźwierny Barsad z innemi stróżami więzienia. Barsad rzekł do innych: „można im dozwolić, niechaj pożegnają się z sobą, to nie potrwa długo.“

Łucja zbliżyła się do męża który wyciągnął ku niéj ręce i przycisnął ją do serca.

— Bywaj zdrowa moja miła, niechaj cię Bóg wspiera i błogosławi; spotkamy się tam mój aniele, gdzie po nędzach tego życia sprawiedliwi odpoczynek mają.

— Nie żałuj mię Karolu, mam nadzieję że Bóg mi doda siły..... pobłogosław naszemu dziecięciu.

— Pożegnaj ją, uściskaj i pobłogosław w mojém imieniu.

Już Karol chciał wyrwać się z jéj objęcia, ale Łucja zatrzymała go jeszcze, mówiąc: „nierozłączamy się pewnie na długo, bo czuję, w końcu musi rozbić się to biedne serce moje; dopóki żyć będę nie zapomnę o obowiązkach matki, a potém spodziewam się że Bóg mi ześle przyjaciela, który opiekować się będzie mojém dziecięciem, bo wszakże i ja byłam biedną opuszczoną sierotą, a znalazłam opiekuna, który czule zajmował się moim losem.“

Stary ojciec zbliżył się do córki i zięcia i chciał klęknąć przed niemi, ale Karol uchwycił go za rękę i zawołał: „o nie, na Boga! nam raczéj przed tobą klęknąć wypada. Wiemy już teraz drogi ojcze, ile musiałeś cierpieć i jak okrutną przebyłeś walkę, skoro dowiedziałeś się o prawdziwém mojém nazwisku. Dziękuję ci z całego serca i niechaj Bóg będzie z tobą!“

Starzec nic nie odpowiedział, ale wydał jęk głuchy, targając siwe włosy.

— Spełnia się nareszcie przeznaczenie moje, naprożno chciałem wypełnić wolę matki; za wiele było złego, niepodobieństwem jest ażeby koniec dobry wieńczył tyle występków i zbrodni. Wybaczcie mi błagam was i niechaj wam Bóg błogosławi.

Stróże wyprowadzili Karola; jeszcze raz Łucja spojrzała się na odchodzącego męża i padła na ziemię u stóp ojca. Karton i stary przyjaciel Lorry zanieśli nieszczęśliwą kobietę do powozu; ojciec zajął miejsce obok córki, naprzeciwko nich usiadł pan Lorry, a Karton obok woźnicy. Powóz ruszył i zatrzymał się wkrótce przed mieszkaniem doktora. Sydney Karton wyniósł omdlałą Łucję z powozu i złożył ją w sypialnym pokoju na łóżku, poczém rzekł do otaczających ją osób: nie budźcie jéj teraz, bo ta nieszczęśliwa potrzebuje odpoczynku po silnych wstrząśnieniach moralnych, których doświadczyła w dniu dzisiejszym. Panna Pross z maleńką dziewczynką wbiegły do pokoju, a mała Łucja skoro tylko spostrzegła Kartona rzuciła mu się na szyję wołając: „Kartonie, drogi mój Kartonie, ocal mojego ojca i ratuj mamę! O, ty jesteś tak dobry, ty nie odmówisz nam pomocy; patrz, patrz na nią tylko, jak ona jest smutna i blada.“ Sydney nachylił się ku dziewczynce i złożył pocałunek na jéj kwitnącém licu, potém zbliżył się do łoża na którém spoczywała Łucja i rzekł: „zanim odejdę, wszak mogę pocałować ją w czoło?“

Gdy dotykał się ustami jéj bladéj twarzy, wymówił Karton słów parę po cichu; dziewczynka która stała najbliżéj niego w téj chwili, opowiadała potém że słyszała jak Sydney wyszeptał te wyrazy: „ocalę życie człowieka, którego ukochałaś najwięcéj.“ Nim odszedł Karton rzekł do doktora: —Panie Manette, twoje dawne nieszczęścia zjednały ci szacunek u tych ludzi, popробuj jeszcze raz użyć twojego wpływu, kto wié, może Bóg dopomoże usiłowaniom.

— Robiłem już wszystko co było w mojéj mocy, lecz nie opuszczę rąk moich do końca; pójdę do prezydującego, sędziów i do innych przywódzców ludu, ale w obecnéj chwili nie mogę nic przedsięwziąść. Czy słyszysz gwar i śpiewy? oto weselą się teraz i obchodzą processjonalnie ulice; udam się więc do nich, dopiero po godzinie czwartéj, kiedy już zmrok zapadać zacznie.

— Zgoda, odrzecze Karton, przyjdę do pana Lorry o godzinie dziewiątéj i dowiem się o skutku pańskich usiłowań.

— Dobrze.

— Szczęść wam Boże!

Wychodząc z domu doktora spotkał się Karton z panem Lorry.

— Nié mam żadnéj nadziei, rzekł Lorry.

— Ani ja także, ale pomimo tego, namawiałem doktora, ażeby poprobował jeszcze po raz ostatni użyć swoich wpływów. Skoro się dowie Łucja że nie opuszczaliśmy do ostatniéj chwili jéj męża, owszem, że robiliśmy wszystko, co było w naszéj mocy, może ta wiadomość przyniesie niejaką ulgę w jéj cierpieniu.

— Tak, tak, masz słuszność, odpowiedział ze łzami w oczach pan Lorry, ale on zginie niezawodnie, nié ma żadnéj nadziei ocalenia.

— W istocie, nié ma żadnéj dla niego nadziei, powtórzył Karton i wyszedł szybkim krokiem z pokoju.

Stanąwszy na ulicy, zdawał się namyślać Karton, w którą stronę ma skierować swoje kroki, nareszcie poszedł ku przedmieściu Śgo Antoniego do winnego handlu Defarge'a.

Oprócz małżonków Defarge'ów, znajdowali się także w sklepie: Jakób i Zemsta. Skoro tylko wszedł Sydney do sklepu, pani Defarge zapytała się go czego żąda, zatém gość nasz kazał sobie podać szklankę wina i usiadł w kącie pokoju, tymczasem rozmowa, którą przerwał na chwilę Karton, zawiązała się znowu pomiędzy czterema obecnemi w sklepie osobami.

— Ma słuszność pani, odezwał się Jakób, dzieło jest zaczęte, więc trzeba go dokonać, bo i czemuż mielibyśmy zatrzymywać się w połowie drogi.

— Nie przeczę, odrzekł Defarge, ale przecież powinien kiedyś nastąpić koniec.

— Zagłada i wytępienie zupełne będzie końcem dzieła, wtrąciła pani Defarge.

— Wspaniale! rzekł skrzeczącym głosem Jakób. Zemsta potakiwała także zdaniu przyjaciołki.

Wytępienie jest dobrą i sprawiedliwą nauką, rzekł Defarge trochę pomieszany, ale zważcie tylko jak wielką jest boleść nieszczęśliwego doktora.

— Ja przypatrywałam się pilnie jego twarzy, rzekła pani z pogardą i gniewem; uważałam wszystkie jego ruchy i ztąd wyprowadziłam ten wniosek że lekarz Manette nie jest dobrym przyjacielem rzeczypospolitéj.

— A czy uważałaś moja żono jak wielka była boleść jego córki i jak dużo jéj ojciec musi także cierpieć z tego względu?

— Uważałam już nieraz i przypatrywałam jéj się dobrze. Widziałam ją w jéj domu, w izbie sądowéj i pod murami więzienia; znam ją, znam doskonale! zawołała pani Defarge z szatańskim uśmiechem, podnosząc palec do góry, jak gdyby on był mieczem, który miał spaść na głowę znienawidzonéj istoty.

— Obywatelka jest wyborna! zaskrzeczał Jakób.

— To anioł nie kobieta! zawołała Zemsta rzucając się w jéj objęcia.

— Wiem, wiem, że gdyby to od ciebie zależało, uwolniłbyś tego człowieka, rzekła z pogardą pani Defarge do męża.

— Nie, ja doradzałem tylko, ażeby już raz położyć koniec téj sprawie i nie przywodzić do ostateczności nieszczęśliwego doktora.

— Słuchajcie, Jakóbie i ty Zemsto! Ja już dawno osądziłam na śmierć cały ich ród i zapisałam ich nazwiska na liście zniszczenia. Zapytajcie się mojego męża czy nie prawdę mówię?

— Tak jest, odpowiedział Defarge.

— Téj nocy, w któréj została wzięta Bastylja, mój mąż znalazł pismo doktora i przyniósł go do domu; czytaliśmy go potém tutaj przy lampie, czy nie tak było mężu?

— Tak, tak, moja żono.

— Powiedziałam zaraz, że tajemnica, którą odkryliśmy w tém piśmie, mnie się najwięcéj dotycze, bo rodzina prześladowana przez Ewremondów była moją rodziną, ten chłopiec, brat który zginął z ręki markiza był moim bratem; zamordowane przez nich ofiary do mnie należą, więc ja cały ich ród pozywam do odpowiedzialności i dopominam się zadość uczynienia za krzywdy i śmierć mojego rodzeństwa; czy nie tak jest mój mężu?

— Tak jest, niewątpliwie, odpowiedział Defarge.

— A więc kiedy wicher dmie straszliwy i na około pożar roznieci, każ uciszyć się wiatrom i zagasnąć ogniowi, ale nie mów, nie mów mnie, ażebym przytłumiła pożar mojéj zemsty!

Słuchacze szatańskiém rozradowali się weselem i z uśmiechem spoglądali po sobie, kiedy pani Defarge blada jak chusta dzikim na około miotała wzrokiem. Właściciel handlu próbował jeszcze zmiękczyć okrutną małżonkę i wspomniał o żonie Ewremonda, która chciała wynagrodzić postępki męża i umarła z żalu, ale odpowiedź pani Defarge była zawsze ta sama: Każ uciszyć się wiatrom i przytłumić ogniowi, ale nie mów mnie nic o powstrzymaniu mojego gniewu i zemsty!

Kilka innych osób weszło znowu do sklepu, a anglik powstał z siedzenia, zapłacił za wino i wyszedł pośpiesznie z winnego handlu. Karton udał się naprzód do więzienia, gdzie rozmawiał z Barsadem, a kiedy już było około godziny dziewiątéj wrócił do mieszkania pana Lorry gdzie oczekiwał na doktora. Już wybiła godzina dwunasta, a pan Manette nie nadszedł jeszcze; dwaj przyjaciele czynili różne przypuszczenia i pocieszali się nawet myślą, że może starania doktora pożądany odniosły skutek i że dla tego dotąd nie wraca, ale wkrótce roztworzyły się drzwi pokoju i wszedł pan Manette z bladą twarzą i rozczochranemi włosami. „Wszystko stracone“ zawołał starzec z rozpaczą, „nié ma, nié ma żadnéj nadziei!“ Twarz doktora zasępiła się groźną chmurą, a wejrzenie jego było dzikie i błędne, raz załamywał ręce, chodząc szybko po pokoju, to znów zaczął targać siwe włosy, i jakby pod wpływem strasznego obłąkania zawołał: „gdzie jest moja ława, gdzie są narzędzia, oddajcie mi trzewiki, muszę zakończyć zaczętą robotę!“ to powiedziawszy rzucił się na sofę i patrzył osłupiałym wzrokiem. W téj chwili wypuścił z ręki papiery nieszczęśliwy starzec, Sydney schylił się i podniósł je z ziemi, a dowiedziawszy się o ich treści podał do rąk pana Lorry i rzekł: „Oto jest paszport doktora, Łucji matki i jéj córki; weź te papiery panie Lorry, a zarazem weź i mój paszport także; nié ma ani chwili czasu do stracenia, jutro powinniśmy opuścić to miasto i udać się do Anglji. Jak sam widzisz, nié ma żadnéj nadziei oswobodzenia Karola, ale wiedz także że równie życiu doktora, Łucji i jéj córce zagraża niebezpieczeństwo. Byłem w handlu winnym Defarge'a i słyszałem z ust jego żony wyrok śmierci wydany na nich wszystkich, najniezawodniéj okrutna kobieta oskarży ich jutro przed trybunałem; widziała ona Łucję jak chodziła pod murami więzienia i dawała ztamtąd znaki mężowi, a tracz mieszkający naprzeciwko gmachu la Force, poświadczy jéj zeznanie. Zarzut uczyniony doktorowi że sprzyja arystokracie i podejrzenie względem Łucji, jako widywała się tajemniczo z mężem, w celu ułatwienia mu ucieczki, oto są dostateczne powody, dla których, głowy żony, dziecka i nieszczęśliwego starca mogą paść pod mieczem giljotyny. Pamiętaj panie Lorry, że nié ma czasu do stracenia i zaklnij Łucję na przywiązanie, jakie ma do córki, ażeby jak najprędzéj wyjeżdżała z Paryża. Jutro w południe niechaj powóz pocztowy czeka już tutaj na dziedzińcu, tymczasem sprowadzisz pan do swego domu rodzinę doktora, a skoro i ja nieomieszkam połączyć się z wami, wsiądziemy wszyscy do powozu i ruszymy w drogę. Daj mi słowo panie Lorry, że spełnisz moją prośbę i że nie zmienisz planu który ci podaję.

— Dobrą dajesz mi radę i możesz zaufać memu słowu że jutro wszyscy będziemy gotowi już do podróży.

— Ja także nie zawiodę cię panie Lorry i dotrzymam mego słowa święcie, tymczasem udajmy się do mieszkania Łucji i odprowadźmy doktora.

Pan Manette nieopierał im się wcale, owszem poszedł za niemi z uległością dziecka nie wymówiwszy ani jednego słowa. Wkrótce stanęli w dziedzińcu pod oknami Łucji.

Sydney Karton pożegnał się do widzenia z panem Lorry, poczem spojrzał jeszcze raz na okno pokoju, w którym mieszkała Łucja, pobłogosławił go i odszedł.

IX.

Ciemno i ponuro było w więzieniu, z którego pięćdziesiąt dwie osób miało wyjechać

w daleką nieznaną podróż, około godziny trzeciéj po południu. Karol Darnay wiedział już dawno o losie który go miał spotkać i przygotowany był na śmierć zupełnie, ale wspomnienie małżonki, którą widział przed chwilą, przejmowało jego serce niewymowną tęsknotą. Korzystając z pozwolenia napisania listu, więzień zapalił lampę, rozwinął świstek papieru, a wziąwszy pióro, nakreślił drżącą ręką ostatnią pożegnalną odezwę do ukochanéj żony, którą zaklinał na miłość jedynego dziecięcia, ażeby nie upadała na duchu i mężnie spełniła ten kielich goryczy. Tłomaczył się w tym liście z postępowania swego, oświadczając że przewinienie jego ojca i stryja względem doktora, było dla niego dotąd najzupełniejszą tajemnicą, nareszcie zakończył prośbą do Łucji, ażeby niezapominała o świętym obowiązku córki i pocieszała nieszczęśliwego ojca.

Wolno, w ciemnéj celi upływał więźniowi ostatni życia poranek, ale godzina po godzinie przypominał mu zegar że kres już trosk i cierpień jego się zbliża, a kiedy nareszcie wybiła już dwunasta, biedny Karol, pomimo smutnych widzeń, które przesuwały się przed jego oczami, znużony długą bezsennością, upadł na nędzne posłanie i zadrzemał. Nie długo nasz więzień pozostawał w owym na wpół czuwającym i na wpółsennym stanie, bo około godziny drugiéj zbudził go łoskot, a zerwawszy się z barłogu na którym spoczywał ujrzał rozwarte przed sobą drzwi więzienia. Wielkie było zdziwienie Karola, kiedy spostrzegł zbliżającego się ku niemu z uśmiechem i z palcem na ustach Sydney'a Kartona. Tyle było wyrazu i blasku w jego licach i wejrzeniu że więzień nie chciał dowierzać swoim oczom i sądził zrazu że jest jeszcze pod wpływem sennego marzenia, ale Sydney wziął go za rękę i rzekł: „niespodziewałeś się zapewne wcale zobaczyć mię w tém miejscu?“

— W rzeczy saméj, nie mogę dotąd wierzyć moim oczom, czy nie jesteś także więźniem?

— Nie, uzyskałem tylko wstęp do téj celi, zjednawszy sobie jednego ze stróżów więzienia. Przychodzę z prośbą od twojéj żony kochany Karolu.

Więzień załamał ręce i zapytał się jakiego rodzaju ta prośba?

— Zaklina cię twoja małżonka na wszystko co ci jest drogiém, ażebyś przychylił się do mego żądania i nie stawiał mi żadnego oporu; więcéj ci nie mogę powiedzieć bo czas nagli i trzeba działać pospiesznie. Najprzód zdejmij bóty i ubranie, a włóż natychmiast moją suknię Karolu!

Karton usiadł na stołku, zdjął bóty i surdut swój w okamgnieniu, poczém naglił przyjaciela ażeby zamienił z nim swoje ubranie.

— Ależ na Boga, czy zastanowiłeś się nad tém Sydney'u że ucieczka ztąd jest niepodobną, a ty narażasz się niepotrzebnie na śmierć nieochybną. Zważ tylko, to jest szaleństwo!

— Wszak nic nie mówię o ucieczce; błagam cię tylko na przywiązanie jakie masz do żony i dziecka, posłuchaj mię i włóż na siebie moje ubranie!

— Sydney'u, drogi Sydney'u, to jest szaleństwo, wszelkie usiłowania twoje będą daremne; mnie nie ocalisz, a sam zginiesz nieszczęśliwy!

Karton nie zważając bynajmniéj na przełożenia przyjaciela rozbierał go i wkładał inne na niego suknie. Więzień opierał się z początku, ale kiedy Sydney powtarzał ciągle w imieniu żony prośby i zaklęcia, on stał się już posłuszny jego woli i patrzył się tylko na niego osłupiałym i zdziwionym wzrokiem.

— Teraz weź pióro i pisz przyjacielu to co ci podyktuję, tylko zaklinam cię na wszystko pisz jak można najprędzéj.

Karol wziął pióro, a Karton dyktował mu szybko:

— Jeżeli przypomnisz sobie naszą dawną rozmowę, wtedy zrozumiesz łatwo wszystko co ma nastąpić niedługo, a wątpię ażebyś tak słabą miał pamięć i zapomniał już słów moich....... Dzięki składam niebu że nadszedł czas, w którym mogę spełnić moje przyrzeczenie. Czyn mój nie powinien wywołać smutku, ani żalu. Wymawiając ostatnie wyrazy podniósł Sydney flaszeczkę, którą trzymał w ręku, do ust więźnia. Karol wypuścił pióro z ręki i zadrżał cały, poczém spojrzał się błędnym wzrokiem na przyjaciela i zawołał: „Co to

jest, co za mgła przesuwa się przed memi oczami?” Karton nic nie odpowiedział mu na pytanie, ale podniósł jeszcze wyżéj flaszeczkę, a kiedy więzień zerwał się z siedzenia i spojrzał z wyrzutem na przyjaciela, ten pochwycił go oburącz, przyłożył powtórnie flaszkę do jego twarzy i zmusił go do powąchania; przez chwilę walczył jeszcze Karol z człowiekiem który przyszedł poświęcić swoje życie za niego, ale wkrótce siły odstąpiły go zupełnie i upadł nieprzytomny na ziemię.

Karton ubrał się szybko w suknie przyjaciela, zarzucił na tył włosy i przewiązał wstążką, poczém zawołał po cichu: „wejdź, już wszystko gotowe“ i szpieg Barsad ukazał się we drzwiach więzienia.

— Przypatrz się, rzekł Karton „wszak bez narażenia życia możesz wykonać naszą umowę?

— Panie Kartonie, rzekł szpieg nieśmiało, wiem że nie zagraża mi żadne niebezpieczeństwo, jeżeli pan dotrzymasz swego słowa.

— Nie obawiaj się niczego; będę wierny danemu słowu aż do śmierci, a teraz wychodź zaraz i wezwij pomocy stróżów; powiedz im że wchodząc do więzienia byłem już słaby i że omdlałem żegnając się po raz ostatni z przyjacielem.

— Przysięgasz pan że mię nie zdradzisz? rzekł szpieg drżącym głosem.

— Dziwny człowieku! czyż nie przysiągłem ci już najuroczyściéj? czegóż jeszcze więcéj wymagasz odemnie? Nie trać drogiego czasu, zanieś więźnia do wskazanego ci miejsca i powiedz panu Lorry że przypominam mu dane mi wczoraj słowo.

Szpieg wyszedł i powrócił niezadługo, wiodąc za sobą dwóch ludzi.

— Co to się znaczy? rzekł pierwszy, przypatrując się pilnie leżącemu na ziemi Karolowi. Czy tak srodze zasmucił się z tego powodu że jego przyjaciel wygrał los na loterji, która się zowie świętą giljotyną?

— Najlepszy patrjota nie zasmuciłby się więcéj, gdyby się dowiedział że głowa arystokraty wymknęła się z uścisku téj pani, którą zowiemy giljotyną.

Podnieśli omdlałego Karola i położyli go na noszach.

— Ewremondzie, nie wiele ci już pozostaje czasu do pożegnania się z tym światem, rzekł Barsad.

— Wiem o tem dobrze, odpowiedział Karton, pamiętaj o moim przyjacielu.

Daléj towarzysze, wynieśmy tego chorego z więzienia, rzekł Barsad.

Drzwi więzienia roztworzyły się i zamknęły za odchodzącemi. Karton pomimo przysięgi Barsada, niepokoił się o los przyjaciela, więc zbliżył się do drzwi i przysłuchiwał się pilnie, ale prócz echa kroków stróżów więzienia, żaden zgiełk ani głos ludzki nie obił się o jego uszy. Nastała znów cisza do koła i Sydney siadł przy stole a oparłszy głowę na dłoni, zapadł w głęboką zadumę. Wybiła nakoniec godzina druga, a zaraz rozległo się echo wielu głosów, poczem roztworzyły się drzwi więzienia, wszedł dozorca z spisem w ręku i zawołał: „chodź ze mną Ewremondzie!”

Więzień udał się za stróżem i wszedł do obszernego ciemnego pokoju, gdzie przy bladém świetle latarni rysowały się tu i owdzie postacie nieszczęśliwych więźniów. Niektórzy z nich płakali, załamywali ręce i biegali z niespokojnością z miejsca na miejsce, ale tych nie wielka była liczba, po większéj części skazani na śmierć więźniowie stali w milczeniu z oczami wlepionemi w ziemię. Kiedy Sydney stał nieporuszony około ściany, jeden z jego towarzyszów zbliżył się do niego i jako dobrze znajomego uściskał serdecznie. Karton zadrżał z obawy czy podstęp jego nie został odkryty, ale więzień powitał go tylko i odszedł w inną stronę. Wkrótce potém, młoda dziewczyna, wątłéj postaci i bladego oblicza, z szerokiemi niebieskiemi oczami, zbliżyła się do niego a dotykając się go chłodną jak lód ręką, rzekła: „obywatelu Ewremondzie! jestem ta sama biedna szwaczka, która znajdowała się z tobą w więzieniu la Force.

— Przypominam sobie, rzekł Karton, ale zapomniałem o co cię oskarżają.

— Obwiniają mię o intrygę i spisek, chociaż Bóg świadkiem że jestem niewinna, bo któżby zechciał, powiedźcie sami, z tak biedną jak ja istotą, zawiązywać jakąbądź intrygę?

Smutny uśmiech jéj twarzy żywo poruszył Kartona i łza współczucia spłynęła po jego licu.

— Jestem niewinna obywatelu Ewremondzie, ale wcale nie obawiam się śmierci, owszem, gdybym wiedziała że śmierć moja może przynieść korzyść dla sprawy, która jak ludzie mówią, ma zrobić wiele dobrego dla biednych, wtedy chętnie położyłabym pod miecz moją głowę, chociaż wątpię wprawdzie ażeby biedne życie moje miało przeszkadzać jéj w czémkolwiek.

Serce Kartona zostało goręcéj po raz ostatni w tém życiu, przepełnione uczuciem litości na widok téj biednéj, niewinnéj dziewczyny.

— Słyszałam że cię oswobodzono obywatelu Ewremondzie; uwierzyłam temu i ucieszyłam się szczerze.

— W istocie, byłem już raz uwolniony, ale uwięzili mię powtórnie i skazali na śmierć.

— Jeżeli mi dozwolą jechać z tobą Ewremondzie, czy będziesz tak dobry i podasz mi twą rękę? nie obawiam się śmierci, ale jestem tak wątła i słaba że potrzebuję pomocy i uczuję się mężniejszą przy tobie. Tak mówiła młoda szwaczka i podniosła oczy w górę, ale nagle w jéj twarzy odbiło się uczucie zwątpienia i podziwu. On uścisnął jéj drżącą i drobną rękę i dotknął się ustami jéj twarzy.

— Umierasz za niego, szeptała dziewczyna.

— Tak jest, dla miłości jego żony i dziecka; ale cicho, nie mów już nic, moja miła.

— Pozwolisz, że nie wypuszczę już twojéj ręki?

— Ciszéj mów siostro! Zgoda, nie odstąpię cię do ostatniéj chwili.

O godzinie drugiéj popołudniu zatrzymał się powóz pocztowy przed rogatkami.

— Kto jedzie? zapytał się urzędnik. Pokażcie paszporta.

Jeden z podróżnych wychylił się z powozu i podał urzędnikowi żądane papiery.

— Aleksander Manette, lekarz, rodem z Francji. Czy ten starzec jest owym lekarzem obywatelu?

— Tak jest, odpowiedział pan Lorry.

— Łucja, jego córka?

— Oto jest ona.

— Łucja zapewne jest żoną Karola Ewremonda, czy tak?

— Tak jest.

— Ewremonde otrzymał już paszport na wyjazd do innego kraju. A gdzie jest Łucja córka Ewremonda?

— Oto jest jego córka.

— Dobrze, pocałuj mię córko Ewremonda. Pamiętaj że pocałowałaś dobrego patrjotę; przybył zatém nowy członek do twojéj rodziny.

— Gdzie jest Sydney Karton adwokat?

— Leży tutaj; jest słaby i nieprzytomny; spodziewamy się że świeże powietrze uleczyć go powinno.

— Czy pan jesteś Jarvis Lorry, bankier z Londynu?

— Tak, jestem bankierem i nazywam się Lorry.

Zanim przyłożyli pieczęcie na paszportach urzędnicy, przejrzeli jeszcze raz z uwagą wszystkie papiery, poczém dopiero przyszedł ten sam urzędnik do powozu, który zapytywał się o nazwiska podróżnych i oddał panu Lorry poświadczone przez miejscową władzę paszporta.

— Szczęśliwéj podróży! możesz już jechać pocztyljonie.

— Bywajcie zdrowi obywatele! odpowiedział pan Lorry.

Powóz ruszył z miejsca, a pan Lorry złożył dłonie jak do modlitwy i wzniósł w górę oczy. Z piersi omdlałego podróżnego ciężkie wydobywają się westchnienia. Łucja płacze nad nim i załamuje ręce, to znów odwraca się do pana Lorry i mówi z niespokojnością do niego: zdaję mi się że jedziemy bardzo wolno, czy nie lepiéjby było ażebyśmy kazali pocztyljonowi jechać prędzéj?

— Nie można, nie można moje dziecię, ściągnęlibyśmy na siebie podejrzenie.

— Wyjrzyj z powozu panie Lorry i zobacz czy nie gonią za nami?

— Cicho wszędzie, nie widać nikogo na drodze, bądź spokojna moja droga.

Nasi podróżni jadą szybko; mijają przedmieścia, zniszczone domy i ogołocone z liści drzewa. Jadą daléj i daléj i już przesuwają się przed ich oczami puste pola i samotne wzgórza. Wiatr goni i chmury gonią

za niemi i noc coraz ciemniejsza zapada. Omdlały podróżny porusza się na posłaniu, oddycha swobodniéj i już wyraźnie mówić zaczyna, ale zdaje mu się że jest jeszcze w więzieniu, bo po imieniu woła na swego przyjaciela.

Od czasu do czasu odzywa się w powozie drżący głos niewieści: patrz, patrz, czy ścigają nas? ale cicho do koła i prócz chmur i wiatrów nikt nie goni za niemi.

A w téj saméj chwili, kiedy więźniowie w liczbie pięćdziesięciu dwóch przygotowywali się do dalekiéj i nieznanéj podróży, na przedmieściu Śgo Antoniego, trzy osoby, jako to: Jakób, pani Defarge i Zemsta radziły pomiędzy sobą.

— Mój mąż jest zacnym patrjotą i dobrze zasłużył się rzeczypospolitéj, ale chwieje się i jest słaby jak dziecko, skoro rzecz idzie o tego doktora, mówiła pani Defarge.

— Szkoda, wielka szkoda, zaskrzeczał Jakób, ztąd przypuszczać można że mąż wasz nie jest zupełnie dobrym obywatelem.

— Ja wprawdzie niedbam o tego doktora; czy on będzie nosić głowę na karku, czy nie, wcale mię to nieobchodzi, ale ród Ewremonda, jego żona i córka zginąć musi koniecznie.

— Ona ma wcale piękną główkę, nieuwierzysz obywatelko jak śliczny był widok, kiedy taką samą głowę z niebieskiemi oczami i złotemi włosami Samson podniósł z ziemi i pokazał ludowi. Dziecko jéj także ma niebieskie oczy i złote włosy; widywałem czasami u stóp giljotyny dzieci; piękny jest to także widok!

— W żadnym razie nie mogę dowierzać mojemu mężowi, ozwała się znów pani Defarge, on z przywiązania do tego doktora, gotówby go uprzedzić o naszych zamiarach, a wtedy żona Ewremonda mogłaby ratować się ucieczką.

— Nikt nie powinien uciec, zaskrzeczał znów Jakób, dotychczas lista skazanych na śmierć jest jeszcze bardzo mała; nam potrzeba przynajmniéj podwoić tę cyfrę, bo bądź co bądź powinniśmy kosić choć po sto dwadzieścia głów codziennie.

Pani Defarge zaczęła naradzać się z małym traczem, który znał dobrze Łucję i widywał ją pod murami więzienia. Po krótkiéj rozmowie stanęło na tém, że tracz uda się z nią razem do sekcji Śgo Antoniego, w celu zaniesienia oskarżenia przeciwko Łucji i jéj córce. Po naradzie z traczem odprowadziła pani Defarge Jakóba i Zemstę na stronę i zwierzyła im się ze swoich zamiarów w tych słowach: „Łucja musi znajdować się teraz w swoim domu i rozpacza zapewne nad skonem męża arystokraty, wroga rzeczypospolitéj, a nawet być może, że wyrzeka przeciwko sprawiedliwym wyrokom ludu. Pójdę do niéj, dowiem się co porabia ta pani i zanotuję wszystko cokolwiek z jéj ust usłyszę.”

— Wyborna niewiasta, cudowna jest z ciebie kobieta, obywatelko! wołał Jakób w zachwycie.

— Ach! najukochańsza moja, wrzasnęła Zemsta i rzuciła się w jéj objęcia.

— Weź z sobą moją robótkę! rzekła do Zemsty pani Defarge i zajmij dla mnie miejsce na którém zazwyczaj siedzę; tylko idź zaraz, bo dzisiaj widzów będzie zapewne bardzo dużo. To powiedziawszy pożegnała się do widzenia z Jakóbem i ze swoją przyjaciołką. Po drodze wstąpiła pani Defarge do swego domu, a ukrywszy pistolet nabity pod suknią i przypasawszy nóż do boku poszła szybkim krokiem do mieszkania, które zajmował doktór Manette z córką.

Kiedy o godzinie drugiéj zajechał powóz pocztowy przed dom pana Lorry i skoro wszyscy gotowi już byli do podróży, wtedy stary ajent banku Tellsona uczynił słuszną uwagę, że ponieważ od pośpiesznego wyjazdu zależy ocalenie ich wszystkich, a im więcéj pojedzie razem osób, tém dłużéj czasu zajmie rewizja paszportów na rogatkach, zatém wypada zostawić Jerzego Chrunchera wraz z panną Pross w mieszkaniu, dopóki drugiego nie wynajdzie dla nich powozu i w tym celu udał się na pocztę i zamówił na godzinę trzecią lekką niedużą bryczkę, która oddzielnie wywieźć ich miała z Paryża. Skoro więc o godzinie w pół do trzeciéj udał się Jerry na pocztę po konie, pani Defarge weszła do pokoju zajmowanego przez pannę Pross, poczem stanęła przed nią, a zmarszczywszy brwi groźnie, zapytała gdzie jest żona Ew-

remonda?.. Panna Pross zamiast coby miała odpowiadać na pytanie, pozamykała drzwi wszystkie i stanęła na progu sypialnego pokoju Łucji.

— Powiedz twojéj pani że chcę widzieć się z nią koniecznie, niechaj wyjdzie do tego pokoju, bo ja sama pójdę do niéj. To powiedziawszy zbliżyła się do drzwi, miotając groźném na około wejrzeniem.

— Jestem angielką i nie lękam się wcale twoich pogróżek, zawołała panna Pross z dumą. Wiem, że im dłużéj zatrzymasz się tutaj i nie dopuszczę cię do mojéj pani, tém lepiéj będzie dla niéj. Poprobuj dotknąć mi się palcem, a nie zostawię jednego pukla włosów na twojéj głowie.

Panna Pross która ani razu w swojém życiu nie podniosła na nikogo ręki, uczuła teraz w piersiach dziwną odwagę, choć pod wpływem oburzenia łzy cisnęły się do jéj oczów. Pani Defarge spostrzegłszy te łzy posądziła ją o słabość i z szyderczym zawołała uśmiechem: „o nędzna istoto! przyznaj sama jak jesteś słaba,” poczem silnym krzyknęła głosem: „obywatelu doktorze! żono Ewremonda!.. nikt, nikt mi nie odpowiada.” Potem nagle jakby domyślając się przyczyny powszechnego milczenia, rzuciła się obywatelka Defarge ku innym drzwiom pokoju i zajrzała po kolei.

— Pokoje są puste, meble porozrzucane, tu i owdzie siano na podłodze, jak gdy by przed chwilą wybierali się do podróży. Co to się znaczy? pozwól mi zajrzeć jeszcze do drzwi tego pokoju! zawołała z niespokojnością podchodząc do panny Pross blisko.

— Nigdy! stanowczym głosem odpowiedziała angielka.

Jeżeli uciekli przed chwilą, można ich jeszcze dogonić, pomyślała pani Defarge.

Wytrzymam cię jak najdłużéj, bo tym sposobem mogę najpewniéj ocalić moją panią, pomyślała panna Pross.

— Jeżeli mi się nie ustąpisz natychmiast, rozerwę cię na kawały, a zechcesz czy nie zechcesz mię wpuścić, ja zajrzeć muszę do tego pokoju! zawołała pani Defarge groźnie. Zbliżyła się do drzwi wściekła kobieta i pochwyciła pannę Pross w swoje ramiona, ale ta nietylko wyrwała się z jéj objęcia, lecz nadto, pokrzepiona nadzwyczajną siłą, któréj dodała jéj trwoga o los ukochanéj pani, otrzymała nad nią pewną przewagę i wyrwała nóż który jéj nieprzyjaciołka miała za pasem. Pani Defarge nie mogąc wyrwać się z uścisków angielki, która przylgnęła do niéj z całą siłą, jaką nadaje rozpacz, wyciągnęła rękę i szukała noża, ale panna Pross zawołała: „nie szukaj napróżno bo nóż twój trzymam już pod pachą; dzięki niebu jestem teraz silniejszą od ciebie, nie wypuszczę cię z mego uścisku, dopóki jedna z nas nie omdleje lub nie wyzionie ducha!

Obywatelka Defarge wyciągnęła pistolet, ale jéj rywalka wcześnie spostrzegła ten zamach i uchwyciła ją za rękę; w téjże chwili rozległ się wystrzał i kłęb dymu zaćmił oczy panny Pross. Angielka odskoczyła na bok przerażona, dym uniósł się w górę i zniknął w powietrzu, jak dusza wściekłéj kobiety, która padła nieżywa na podłogę.

Panna Pross pod wpływem pierwszego wrażenia wybiegła z pokoju i zaczęła wzywać ratunku, ale wkrótce zastanowiła się nad niebezpieczeństwem swego położenia, więc wróciła się i odsunęła do kąta ciało obywatelki Defarge, poczem drzwi domu pozamykała na klucz i wybiegła na ulicę.

Zakrywszy twarz woalem, dążyła ku stronie, w któréj spodziewała się spotkać Jerrego, jakoż wkrótce spostrzegła idącego naprzeciwko niéj Chrunchera.

— Na Boga! powiedz przyjacielu, czy nic nie słyszysz w około siebie, czy w istocie taka cisza panuje w mieście na każdéj ulicy?

— Jak zazwyczaj o téj godzinie, słyszę obecnie turkot strasznych wozów; odpowiedział Jerry zdziwiony jéj pytaniem.

— Ja wcale nic nie słyszę co mówisz; wystaw sobie mój poczciwy człowieku że odkąd rozległ się w moich uszach wystrzał, tam, u nas w mieszkaniu doktora, odtąd głuche na około mnie zaległo milczenie i zdaje mi się że już może nigdy ludzkiego głosu nie usłyszę.

— Jeżeli nie słyszysz teraz turkotu tych strasznych wozów, to pewnie nic już innego nie usłyszysz na tym świecie, rzekł Jerry.

I w rzeczy saméj panna Pross nie odzyskała słuchu już nigdy.

X.

Sześć ogromnych wozów otacza zastęp ludzi zbrojnych na koniach. W tych strasznych wozach jadą ofiary, które mają dziś być poświęcone na krwawym ołtarzu rewolucji. Różny jest wyraz twarzy skrępowanych więźniów, których ostatnia ma wkrótce wybić godzina; ci siedzą smutnie ze zwieszonemi głowami, tamci spoglądają z żalem lub wyrzutem na przechodzących około wozów ludzi, owi znów zamykają oczy i usiłują zebrać poplątane w bezładnym niepokoju myśli; jeden z nich tylko rzuca na około obłąkaném wejrzeniem śpiewa i skacze, jak gdyby okropne wrażenia dnia tego pomięszały władze jego umysłu, ale żaden z tych nieszczęśliwych nie błaga litości ludu ani ruchem ani wejrzeniem. Ludzie zbrojni otaczający na około wozy, zwracają uwagę na młodego człowieka, który nie dając baczenia na to co się dzieje obok niego, rozmawia po cichu z dziewczyną siedzącą po jego lewéj ręce. Tu i owdzie pokazują go sobie palcami i rzucają przeciwko niemu obelgi, kiedy on odpowiada tylko spokojnym uśmiechem i poprawia z trudnością włosy na głowie, mając ręce około ramion związane postronkami. Na stopniach kościoła stoi szpieg odźwierny więzienia i z niespokojnością patrzy na przejeżdżających więźniów, ale twarz jego rozjaśnia się nagle, kiedy spostrzega siedzącego na trzecim z porządku wozie młodego człowieka, który rozmawiał z dziewczyną.

— Gdzie jest Ewremonde? zapytał się człowiek stojący obok szpiega.

— Widzisz go, przejeżdża teraz na tym wozie.

— Czy ten, który trzyma za rękę młodą dziewczynę?

— Ten sam.

Człowiek, który zadawał pytania, woła: schodź Ewremondzie! schodźcie arystokraci! daléj, Ewremondzie, pod giljotynę.

— Cicho, rzekł szpieg nieśmiało.

— Czemu każesz mi być cicho, obywatelu?

— Za pięć minut położy on swoją głowę, tymczasem zostaw go w spokoju.

Wkrótce wybiła godzina trzecia; więźniowie schodzą z wozów i stają rzędami na placu egzekucji. Na stołkach i ławach zasiadły kobiety, które jak w cyrku lub teatrze, czekają spokojnie rozpoczęcia widowiska, zajmując się tymczasem szyciem. Niewiasta którą nazwali Zemstą, powstaje z siedzenia, patrzy się na około i woła: „Tereso, żono Defarge'a, gdzie jesteś?.. nié ma jéj dotąd, powiedzcie co to znaczy?"

— Teresa była zawsze obecna, po raz pierwszy opóźnia się dzisiaj, odparła jéj towarzyszka.

— To źle i bardzo źle! zawołała Zemsta, i zła ztąd może wypłynąć dla nas wróżba; głowa Ewremonda spadnie niedługo a Teresy dotąd nié ma!

Kiedy Zemsta schodzi z wyniesienia na którém stała, w celu odszukania przyjaciółki, mistrze świętéj giljotyny w urzędowych sukniach, stoją już w pogotowiu. Straszne narzędzie spada z łoskotem i kosi pierwszą głowę i wkrótce słychać znów drugie uderzenie a jedna z kobiet liczy raz, potem dwa. Mniemany Ewremonde zbliża się do giljotyny, a z nim razem idzie młoda szwaczka, którą on, jako przyobiecał, trzyma ciągle za rękę, a stanąwszy z nią na wyznaczoném miejscu, odwraca ją plecami do strasznego narzędzia, które wiruje w powietrzu i spada co chwila z łoskotem. Biedna dziewczyna patrzy się na twarz towarzysza z dziękczynienia wyrazem i mówi do niego: „drogi cudzoziemcze ty mi dodajesz sił i męztwa, bez ciebie upadłabym na duchu i niezdołałabym wznieść myśli moich ku Temu, który cierpiał i umarł za nas wszystkich. Wierzę mocno że niebo zesłało mi ciebie w téj ostatniéj godzinie."

— Owszem, ty jesteś aniołem którego Bóg zesłał dla mnie; patrz się drogie dziecię na mnie i staraj się zapomnieć o tém co cię otacza.

— Dopóki cię trzymam za rękę zapominam o wszystkiém i nie czuję najmniejszéj obawy; modlę się tylko ażeby Bóg zmiłował się nademną i ażebym podążyła za innemi prędko.

— Nie obawiaj się dziecię, giljotyna jest szybką jak błyskawica.

Te dwie istoty jak dwoje dzieci jednéj matki, z okiem zatopionéma w oku, z ręką

w ręku, rozmawiają z sobą w tłumie innych ofiar, jak gdyby same tylko znajdowały się już na świecie, bo ich serca złączyły się od chwili, w której spotkały się na ciemnéj drodze życia, zkąd popłynąć miały ku cichéj a świątlejszéj krainie.

— Zacny przyjacielu, pozwól że ci jedno zadam jeszcze pytanie, w przedmiocie, który mię niepokoi w téj chwili.

— Owszem mów, posłucham cię chętnie.

— Mam krewnę, która jest także sierotą, a którą kocham serdecznie, ona jest o lat pięć młodszą odemnie, a mieszka daleko, w jednéj z południowych prowincji Francji. Nędza rozłączyła nas z sobą i ona nic nie wié dotąd o moim losie. Jak myślisz, czy lepiéj będzie, jeżeli ta krewna i przyjaciołka nie dowié się nigdy o mojéj śmierci?

— Myślę że tak lepiéj będzie, moje dziecię.

— A ja myślałam sobie nieraz zamknięta w murach więzienia, że jeżeli się to sprawdzi co ludzie mówią, że rzeczpospolita wiele zrobi dobrego dla biednych i zmniejszy ich cierpienia, wtenczas i ta przyjaciołka moja żyć może jeszcze będzie długo bardzo na téj ziemi.

— Więc cóż ztąd wnosisz miła siostro?

— Czy myślisz że długo będę na nią czekać w tym piękniejszym i szczęśliwszym kraju, do którego wkrótce mam nadzieję w Bogu że przeniosę się wraz z tobą? To pytanie mówiła drżącemi ustami, z oczami łez pełnemi.

— O nie, nie, moje dziecię, tam nie ma troski, tam dni się nie liczy.

— Ty mię uczysz i pocieszasz, więc dzięki ci za to i pocałunek złożę na twych ustach, bo zdaje mi się, że już ostatnia chwila nadchodzi.

— Tak jest, tak.

— W téj chwili złączyły się ich drżące usta i pobłogosławili sobie wzajemnie. Kiedy Sydney wypuścił dłoń dziewczyny, twarz jéj była promienna uroczystym spokojem i poszła bez drżenia pod giljotynę.

Kobieta z ludu podnosi głowę i liczy dwadzieścia dwa.

Karton postępuje za towarzyszką, mówiąc po cichu: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem“ powiedział Pan, „kto uwierzy we mnie, chociażby umarł, żyć będzie, a ktokolwiek żyje i wierzy we mnie, nie umrze nigdy.“

Gwar tysiąca głosów, nakształt huku ogromnéj fali rozszedł się w tłumie, a kobieta z ludu naliczyła dwadzieścia trzy.

Mówiono tego wieczoru w mieście, że jeden ze skazanych na śmierć, którego nazwiemy Sydney'em Kartonem, miał twarz spokojną i jasną w chwili spełnienia wyroku, a niektórzy dodawali nawet że zdawał im się być natchniony jak jaki prorok lub święty. Gdyby w istocie Sydney Karton proroczym w chwili skonu był obdarzony duchem i gdyby mógł wieszczém wtedy przemówić słowem, lub przekazać go na papierze jego proroctwo byłoby następującéj treści:

„Widzę Barsada, Cly'a, Defarge'a, Zemstę, sędziów, słowem cały szereg nowych tyranów, którzy pozostali na dawnych zgliszczach, jak giną wszyscy, jeden po drugim, od tego samego krwawego narzędzia, którém ohydnie walczyli.

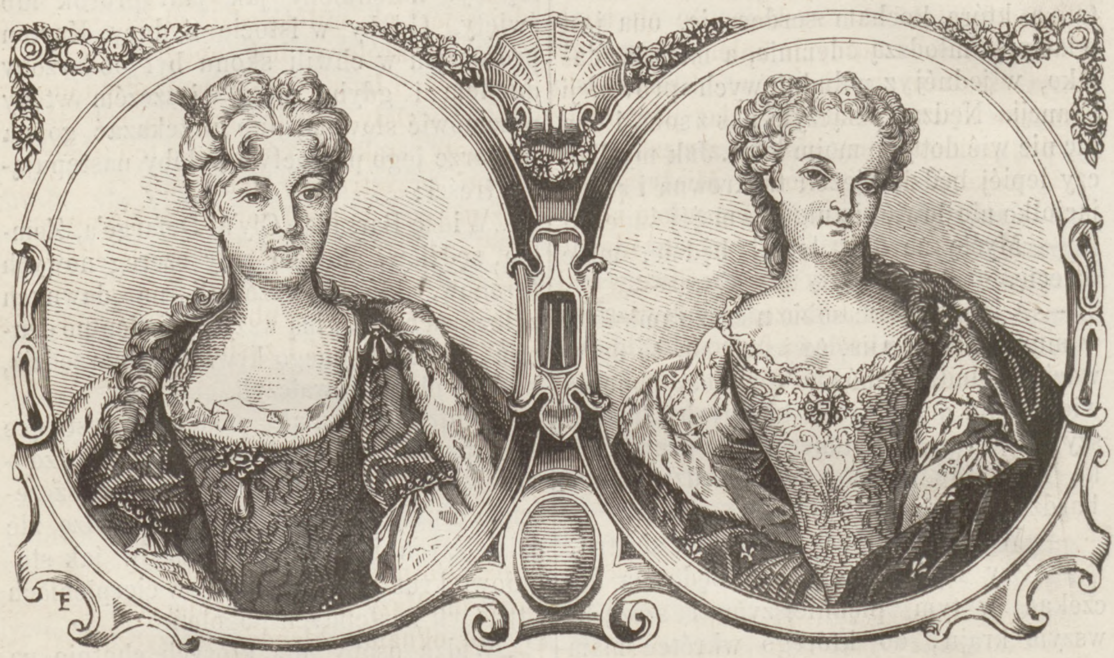
„Widzę wspaniałe miasto powstające na gruzach i lud wielki który usiłuje zdobyć swobodę i walczy z odmiennénı szczęściem długie w przyszłości lata, widzę złe dzisiejszych i przeszłych czasów jak stopniowo kruszy się i topnieje w cierpieniach i trudach następnych pokoleń.

„Widzę osoby dla których chętnie na śmierć idę, jak w spokoju i szczęściu pędzą długie lata, w téj Anglji, któréj już nie ujrzę nigdy. Widzę miłą Łucję z dziecięciem na ręku, które mojém nazywa się imieniem, jéj starego ojca, otoczonego wnukami, który do saméj śmierci spełnia obowiązki swego użytecznego zawodu i tego starego przyjaciela widzę także, jak cieszy się drogich mu osób szczęściem i nareszcie błogosławi im i umiera, pozostawiając im cały swój majątek.

„Imię moje wyryte jest na zawsze w ich i w potomków ich sercach i widzę ją już starą matroną, jak modli się i płacze rzewnie, w dniu, który jest rocznicą mojéj śmierci. Widzę tego chłopca, którego matka piastowała na rękach i nazywała mojém imieniem jak wzrasta w latach i cnocie, a obrawszy ten sam zawód, w którym niegdyś ja pracowałem, dochodzi do wysokiego w nim szczebla prawdziwą, zaszczytną

zasługą; widzę nareszcie jak wiedzie on za rękę złotowłosego synka do tego strasznego miejsca, które dziś obryzgane jest krwią tylu ofiar i słyszę, jak mój imiennik opowiada drżącym i czułym głosem synowi swemu smutne moje dzieje.

„Czyn ów nakoniec, który spełniam dzisiaj, ten czyn miłości jest najlepszym ze wszystkich spraw życia mojego i widzę teraz już jasno, że ta noc cicha i tajemnicza na któréj progu dziś stoję, wróży mi lepsze nierównie życie od tego, którego kosztowałem dotąd.“



MARJA KLEMENTYNA SOBIESKA I MARJA LESZCZYNSKA.

Według spółczesnych rycin przechowanych w bibliotece Świdzińskiego rysował Tegazzo.

Jakkolwiek znane dobrze szczegóły życia obu tych Marji polek, co przez małżeństwo połączyły się z dwoma możnemi na Zachodzie rodami panujących, zawsze przecie wszystko co się ich tyczy, niezmiernie nas zajmuje. Urodzone w kraju, w którym przywilej szlachectwa pozwalał daleko sięgać widokom ambitnym, jedna miała dziada a druga ojca elekcyjnym królem, a chociaż pierwszy nie tak krótko jak drugi panował i owszem umarł na tronie syt sławy i bogactw, jego wnuka wszakże zarówno jak córka Stanisława znała gorycz wygnania, tajenia się, ucieczki. Jeżeli dwuletnią Leszczyńskę zapomniano w ubogiéj karczmie na noclegu, Sobieska już szesnastoletnią dziewicą musiała uciekać z więzienia z Inspruku, oderwana od łona ubóstwianéj matki, sama, wśród nocy z znieznanemi sobie ludźmi, nieraz pieszo brnąc po błocie, lub drżąc z obawy przed spodziewaną pogonią. Słowem i jednéj i drugiéj los srogi nie poskąpił ciosów swoich, lecz tak jedna jak i druga przeciwstawiły mu chrześcijańską rezygnację, to najprawdziwsze źródło odwagi i zamiłowanie nauki, która tak wzniosłych pociech dostarcza zwolennikom swoim. Ścisłe stosunki łączyły rodziny Sobieskich i Leszczyńskich, a obie Marje, jak dwa pełne uroku kwiaty, tych dwóch

staropolskich szczepów, rozkwitły na życie w pierwszych latach ośmnastego wieku. Nieco młodsza Leszczyńska dopiero w 1725 poszła za Ludwika XV, podczas kiedy córka Jakóba Sobieskiego już od 1718 roku Stuartowi angielskiemu poślubioną była, nosząc na wygnaniu we Włoszech tytuł królowéj, marny, bo nawet nigdy nie poparty rzeczywistą władzą. Tymczasem monarchini francuzka nie wiele szczęśliwszą była. Marja Klementyna Sobieska zgasła w 33 roku życia (1735), zyskując że nie miała czasu widzieć smutnych kolei dalszego żywota ukochanych jéj synów. Leszczyńska umarła w trzydzieści parę lat późniéj (r. 1768) pochowawszy pierwéj z ciężką boleścią kilkoro dzieci swoich. Miały jeszcze i to z sobą wspólnego, że obie mimo słodyczy, wyrozumiałości i wszystkich niewieścich przymiotów, były nieszczęśliwe w małżeńskiém pożyciu. Jeszcze, cierpliwsza pod wielo względami królowa francuzka, upominała o uległość mężowi Marję Klementynę listem do Rzymu pisanym, lecz niestety! dobrze powiedział pewien autor francuzki: *Malheureusement pour le bonheur domestique il ne suffit pas d'un seul mérite, il en faut deux.* Nie wiele téż przydały domowego szczęścia naszym Marjom, wszystkie ich zalety, które właśnie zdawały się stawiać tego szczęścia rękojmię; zaledwie miały kilka chwil złudy w pierwszych chwilach zamęźcia. Lecz jest jedna cnota, która już tu za życia słodką przynosi nagrodę, a jest nią miłosierdzie chrześcijańskie. Obie te królowe lud ubogi czcił matki imieniem i liczne rzesze nędzarzy i prostaczków wylały nad ich grobem łzy gorące, klejnoty stokroć cenniejsze od tych, jakiemi przystrojono ich szaty i skronie, a z pełnych miłości serc tych bogobojnych niewiast, trysły promyki chwały dla narodu z którego łona wyszły i pozostały one dla niego chlubą u obcych, jako przedstawicielki jego cnót i zasług.

J. Śmigielska.

KORRESPONDENCJA.

Paryż 12 Maja 1863.

Jajka wielkanocne — Longchamps — Wystawa psów — Saint-Cloud — Wystawa obrazów — Szkoły dla panien we Francji — Wyścigi konne.

Na tym szczupłym kawałku ziemi Europą zwanym, w téj części kuli ziemskiéj która jest najmniejszą ale najludniejszą i *najbardziéj* ucywilizowaną (tak nas przynajmniéj, wszystkie geograficzne dzieła, uczą), ludy które się rozsiadły w błogich tych, północno-umiarkowanych, okolicach i wloką żywot swój ziemski w przekonaniu, że szczęśliwsze są, zacniejsze, rozumniejsze od ludzi innych części globu ziemskiego, ludy te, ani się domyślają jak są blizkie sobie prawem, zwyczajami, podaniami, przesądem i t. d. i t. d. lubo tak na pozór, bardzo rozdzielone mową. Myśl tę, nasunęła mi rzecz błaha — widok cukrowych jaj i cukrowych w prawdziwém pierzu, kokoszy wylęgających w ozdobnych koszyczkach owe słodkie dla dziatwy francuzkiéj wielkanocne upominki. Śliczne lalki, biało i pąsowo ubrane, wyobrażające chłopczyków do Mszy Śtéj posługujących, podawały za oknami sklepów, koszyczki jaj takich pełne i nęciły oczy dziatwy i nie dziatwy jaskrawém swém ubraniem. Duże, pojedyncze pudełka, często nader drogie, pełne rozmaitych cacek, a wyobrażające kształt jajka (upominek dla dorosłych) przypominały mi jedynie ów staropolski nasz obyczaj, dzielenia się jajkiem święconém, w gronie domowników, rodziny i przyjaciół. Te cukrowe i niecukrowe cacka, są ostatnim we Francji zabytkiem obyczajów średniowiecznych, kiedy 40-dniowy post był zachowywany tak ściśle iż nie wolno było jadać nabiału. W dzień święta Zmartwychwstania Zbawiciela, stosy jaj święconych zapewne, oczekiwały dziatwę złaknioną tego przysmaku, a monarchowie francuzcy obdarzali kraszanką lub pozłocistém jajkiem każdego ze swych dworzan. Ojcowie chrzestni, taki sam podarek, swoim chrześnikom dawali. W Szwajcarji przechował się ten obyczaj dotąd jeszcze, bo

czytam właśnie że w Courgenay, 66-letnia chrzestna córka poszła po jajko wielkanocne do swego ojca chrzestnego lat 82 mającego, ten zaś był takim samym przysmakiem obdarzony od 94-letniego starca który go do chrztu trzymał. W Wielki piątek jak wiadomo, paryżanie odbywają przejażdżkę do Longchamps. Izabella córka Śtéj Blanki a siostra Ludwika Śgo króla Francji, dziewica słynna z wdzięków i świętobliwości, założyła w 1260 r. klasztor pod nazwą: Pokory Matki Boskiéj, w lesistém miejscu zwaném Longchamps i tam w towarzystwie swéj przyjaciołki Agnieszki d'Harcourt oraz 20tu innych dziewic, pobożny pędziła żywot aż po rok 1270, w którym Bogu ducha oddała. Śty Ludwik często odwiedzał w tém ustroniu ukochaną siostrę. Późniéj kiedy zamknęła się epoka średnich wieków, a po mądrych i cnotliwych rządach Ludwika IXgo pamięć tylko wraz z uwielbieniem zostały, lud paryzki, rokrocznie biegł do Longchamps z modlitwą i wspomnieniem błogiéj przeszłości. Dzisiaj, Longchamps stanowi dalszą część niejako lasku bulońskiego i po ścieżkach świętego króla stopą deptanych, tłoczy się gmin nie lud paryzki, z pogańską myślą zysku i rozpusty. Bywały czasy kiedy piękne, strojne panie jeździły do Longchamps żeby się pochlubić świetnością swego stroju, teraz i to ustało. Jeżdżą tam wystrojone jéjmoście ale takiego rodzaju, że najcnotliwsze z nich, warte pójść do domu kary i poprawy. Przeszłość rycerska, religijna, często awanturnicza lecz nierzadko szlachetna, pełznie na społeczeństwa nowego ramionach, jak zużyta, niepotrzebna szata. Wyradzają się podania, mieni się w kameleonową barwę społeczność europejska — czy wystąpi w świetniejszéj szacie i dzielniéjszéj niż dawna postaci, jest to sfinksowe pytanie które czas przyszłym wiekom rozwiąże.

Poczciwi francuzi tak bardzo zapatrują się na swych sąsiadów z po za Manszy, iż prócz wolności słowa i druku – wszystko, od nich przejmują. Niedawno, przyszło na myśl jakiéj zapewne angielce, urządzić wystawę psów w Londynie. Myśl osobliwa, dość więc żeby taką była, to zaraz w Anglji znajdzie zwolenników. Jednakże, tylko 600 znaleziono piesków, godnych oka ludu angielskiego. Lecz po téj ekscentrycznéj wystawie w Londynie, francuzi z zazdrością w duszy że nie im pierwszy pomysł się należy, ogłosili wystawę psów w ogrodzie Annimatyzacyi (przy lasku bulońskim) i przepisali swych zamorskich sąsiadów, bo zebrano psów aż do ośmsetkilkadziesiąt! Między szczęśliwemi śmiertelnikami, oglądającemi owe cuda rodzaju *felis* i ja byłam. Małe pieski, ślicznoty prawdziwe, siedziały za kratami. Jeden z nich Azor, był pod nakrywą czworograniastą szklanną, inny Fido, miał atłasowy błękitny fotelik, wydrążony we środku i różową wysłany poduszką. Poduszeczek złotem szytych, piesków *bichons*, *havanais* i maltajskich z różowemi we fryzurkach wstążeczkami, ani téż psiarni księcia Napoleona, hrabiego de la Tour i t. d. i t. d. opisywać wam nie będę. To tylko przydam, że wystawa trwała tydzień, od 3go do 10 Maja – że 4ry srebrne puhary i dwa medale wystawione są na widok jako nagrody, dla szczęśliwych właścicieli najpiękniejszych piesków, że cesarz kazał kupić dla siebie jednego z najlepszéj rassy psów pasterskich, że tłok był na wystawie niesłychany lubo wejście po franku płacono i że — bo wszystko niestety! (nawet wystawa psów w Paryżu) ma swoją złą stronę — że więc zapach był nieznośny, upał duży, a pisk, wycie i szczekanie nader nieprzyjemne dla obecnych.

Ten kochany światek paryzki, bawi się do upadłego. Zeszłéj Niedzieli (3go Maja) były pierwszy raz w tym roku wielkie wody w Wersalu wczoraj zaś (10go) otworzono cesarskie w S[t] Cloud pokoje dla ciekawéj publiczności i puszczono w parku wody. Wiem że królową sztuk wszystkich jest słowo. W niém wszystko to się mieści, co oddać może pędzel, muzyka, rzeźba, a nawet budownictwo. Czegoż *słowem* niewyobrazi myśl ludzka? czegóż nieodmaluje, niepowtórzy? Wszechmoc słowa, nawet pod względem plastycznym jest nieograniczoną, ja przecie, niepodejmuję się opisywać wam wód S[t] Cloud dla tego, iż niemam daru opisywania zewnętrznych wrażeń. Wyobraźcie sobie tylko dużą sadzawkę, z któréj środka biją wodotryski, a przed sadzawką kilkunastostopniowe schody potrójnym

rządem stojące i po schodach z szumem i łoskotem, cieknącą wód strugę. Ktoś mi powiedział że to wygląda tak: jak gdyby kto miskę wody, wylał na schodach. Powiedzenie było trafne lecz mimo dziwactwa pomysłu, wodotrysk duży w St Cloud niejest bez powabu. Wszyscy wiedzą, że w 6tym wieku po Chryst: wnuk Śtéj Klotyldy wdowy Klodoweusza, unikając morderczego noża stryjów swoich, został mnichem i osiadł w miasteczku Nogent, gdzie założył klasztor i kościół. Po śmierci jego Nogent przybrało nazwę Śgo Klodoweusza, póżniéj na St Cloud zmienioną. Miasteczko to, liczące teraz do 4ch tysięcy mieszkańców, zostało nabyte przez brata Ludwika XIVgo a świetny dwór Henrjetty francuzkiéj spędzał w nowo wybudowanym, przez księcia Orleans, zamku, wesołe dnie i weselsze jeszcze wieczory, na ucztach, igrzyskach i wszelkiego rodzaju zabawach. Mignard sławny malarz z czasów Ludwika XIVgo, ozdobił ściany tego zamku swemi arcydzieły. Piękna galerja Appolina i salon *prawdy* tak nazwany, bo na suficie, Antoni Coypel, tryumf prawdy wymalował, godne dłuższego zatrzymania się widzów niż to zwykle bywa. Lecz czy podobna podziwiać dzieła sztuki, mając dwie godzin czasu na obejrzenie tysiąca szczegółów, lub kiedy się słyszy, tuż za sobą wołanie dozorującego: *passez, passez, Messieurs et Mesdames!* Ucieka się mimowolnie pod takim przymusem i po przechadzce utrudzającéj, spostrzega każdy że dużo widział ale nienapatrzył się niczego. Dla mnie St Cloud miało niesłychanéj powagi dziejowéj urok. Od wnuka Klodoweusza aż do Napoleona IIIgo i Eugenji, wszystkie dynastje tędy przechodziły. Tu, zabitym został Henryk IIIci ostatni z Walezjuszów, pierwszy obieralny król polski. Tu, ród książąt Orleańskich przez dwa blizko wieki pędził dni w pomyślności i zbytkach nieprzeczuwając wygnania i konfiskaty. Napoleon jeszcze jako pierwszy konsul, mieszkał tu z Józefiną, tu chrzczono pierwszego syna Hortensji w 1805 r., zszedł on ze świata w dwa lat po urodzeniu — tu nareście 1go Kwietnia 1810 r. w zamkowéj kaplicy, odbywał się obrzęd zaślubin Napoleona Igo z Marją Ludwiką Austrjacką, gdy w Malmaison, sąsiednim pałacu, Józefina dworem otoczona tęskne dni pędziła. Wtedy Francja miała dwie cesarzowe, żony panującego władzcy i dwa obok siebie dwory: Malmaison i Tuilleries. Za Restauracji przemieszkiwał w St Cloud Ludwik XVIII, ztamtąd Karol X wyjechał by na zawsze opuścić Francją w 1830 r. podczas dni lipcowych, a nowa Orleanów dynastja, upodobała sobie to ustronie i zwykle w salonie *prawdy* zbierała się cała rodzina Ludwika Filipa, żeby wspólnie wieczór przepędzić. Napoleon III często przebywa tu z małżonką, piękny park dzielący się na górny i dolny, sąsiedztwo Paryża i cisza tego ustronia, mogą nęcić do siebie każdego, lecz dzisiejszy cesarz francuzów spotyka tu zapewne wspomnienia lat swych dziecinnych, a może znajduje przedmiot do rozmyślań nad dziejami Francji, w tym pokoju, gdzie umarła Henrjetta angielska, lub przed kościołem, przez Marję Antoninę założonym. Nad głównemi zamku shodami, jest duży obraz, wystawia on przybycie królowéj Wiktorji z mężem do St Cloud i powitanie dostojnych gości przez cesarza i cesarzową Francji. Dziwnie odbija, szara suknia i skromna błękitna mantylka królowéj angielskiéj, przy białém, strojném Eugenji ubraniu. Cesarz ma wstęgę orderu podwiązki, książe Albert cały ubrany czerwono, wszystkie postacie są portretami, lecz z żalem wyznać trzeba że choć obraz nowy, koloryt jego tak już spełzły, jakby przed trzema robiony był wiekami. Co za różnica między tym obrazem a pysznemi gobelinami które są kopją arcydzieł Rubensa, w Luwrze umieszczonych. Gobeliny te zdobią salon *prawdy*, wyobrażają zaś historją Marji Medicis żony Henryka IVgo matki Ludwika XIIIgo. Rubens bawił się tu w allegorją, ale jakąż cudną, jak fantastycznie bogatą! Zapomniałam dodać iż w 1815 r. kiedy wojska sprzymierzone weszły do Paryża, miasto kapitulacją swą podpisało 3go Lipca, w zamku St Cloud. Wracając z téj historyczno-sielankowéj wycieczki, spotkałam kilka osób znajomych. Zaczęliśmy rozmawiać o piękności zamku i parku. Nasz Willanów zewnątrz i wewnątrz piękniejszy, odpowiedziano mi stanowczo. Ucieszyłam się niewymownie tą

odpowiedzią. Więc nie ja tylko sama widzę, że mało czego zazdrościć mamy cudzoziemcom. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy nawet urządzić wystawę zwierząt drapieżnych, ciekawszą i znakomitszą, milijon razy, niż wystawa psów w Londynie lub Paryżu.....

Wystawa obrazów już otwarta w pałacu przemysłu (palais de l'Industrie) przy polach elizejskich; przyjętych obrazów jest tysiąc kllkadziesiąt — nieprzyjęte, wkrótce na widok publiczny wystawione zostaną. W pierwszéj sali tego nowożytnego muzeum, naprzód zwraca uwagę portret cesarzowéj naturalnéj wielkości przez Winterhaltera. Eugenja, przedstawiona w postawie siedzącéj, czarną ma suknię, na jasnych włosach koronę; śliczną swą głowę, obnażone ramiona i giętką kibić białą otoczyła gazą. Lekko wsparta na ręce, cudnie piękna.... jedno tylko zarzucam temu portretowi, znać w nim *pozę*, tę nieszczęśliwą pozę teatralną od której wolne są tylko trzy czy cztery portrety kobiet na wystawie. Czém się to działo iż dawniejsze piękności, choć w muszkach, fryzurze i pudrowane, mniéj miały wymuszoną postać jak dzisiejsze? Tém zapewne że i w potoczném życiu, więcéj było prawdy i prostoty. W téj saméj sali jest także portret cesarza przez Flandrin, kilku biskupów, nieboszczyk kardynał Morlot, księżna Matylda, pan de Morny i t. d. Moją uwagę zwrócił w przybocznym salonie obraz przedstawiający szlachcica w czarnym stroju i chłopka polskiego. To utwór polaka! zawołałam, tak mię te poczciwe, odrębnego wyrazu twarze, za serce ujęły. Przybliżam się, czytam podpis: Leon Kapliński malował. - Artyści francuzcy, bardzo chwalą *narodziny Wenery* przez Cabanela. Z błękitu wód, podnosi się śliczna postać dziewicy ale... tych bogiń tak bardzo nieubranych, za dużo tego roku w salonach wystawy. Gustaw Brion dał parę obrazów religijnych powszechnie chwalonych, ja spamiętałam jego łódź Piotrową na rozhukaném — morzu śliczny to utwór. Burza, ciemna i straszna; słychać szum wichru, kołyszą się wody morskie, łódź płynie.... tymczasem przez fale wód sunie się postać, któréj czoło połyska jak krąg słoneczny, to Zbawiciel dąży ku żeglarzom. Chodź Piotrze! woła i wyciąga doń rękę. A Piotr porzuca deski czółna i śmiałą nogą stąpa po wód otchłaniach; wiara unosiła go nad przepaścią oceanu!.. śliczny i uspakajający widok!

Zarzucają panu Adolfowi Leleux że od 25ciu lat maluje same tylko Bretońskie typy, a p. Marchal iż zaczyna, jedynie Alzatczyków malować. Krowy Ksawerego de Cock mają łby dwa razy większe niż potrzeba, a żołnierze pana Protais podobni do siebie jak dwie krople wody. Mnie dwa jeszcze obrazy zajęły; szkółka dziewczynek pod nadzorem zakonnic. Widzisz małą gromadkę w ogrodzie czy na dziedzińcu, dwie młode zakonniczki wśród dzieci, modli się to wszystko a słońce igra w pośród tych błękitnych sukienek, pełznie złocistym blaskiem po białych welonach dozorczyń i rumianych policzkach dziewcząt; malarz podobno zwie się Rousseau. Drugi obraz dużych rozmiarów: Napoleon IIIci w ambulansie, czyj utwór? niepamiętam, lecz obrazu niezapomnę bom się o mało przed nim nie rozpłakała. Stoi cesarz zdrów, świeży i prosty jak żołnierz, wśród chorych, ranionych, umierających; jest tam kilku z obwiązaną głową a jeden z nich tak żółty, tak blady, tak chory że go zapomnieć nie mogę....

Już dawno zbieram się opisać wam, jakiéj tu sławy u pobożnych francuzek używają pensje żeńskie. „Weszłam niewinną, prostą, kochającą ród ludzki” powiada mi pani He: „po kilku latach pobytu na pensji, wyszłam przebiegłą, dumną, chciwą zabaw i hołdów, zazdrościłam bogatym, pogardzałam ubogiemi, pojęcia obowiązków jakie wkłada na nas chrześcijańska wiara, niemiałam żadnego, nauki nabyłam bardzo mało i gdyby nie towarzystwo rodziców moich kochanych które mię nawróciło i poprawiło, gdyby nie wpływ męża którego rozum i serce ocenić umiałam, byłabym została kobietą bez uczucia i wiary, dbającą jedynie o dobry byt i stroje. Dam pani miarę” mówiła daléj pani H. „jak u nas na pensjach uczą równości i braterstwa. Zaczęłam się przyjaźnić z hrabianką P. córką senatora, ochmistrzyni moja zabroniła nam przyjaznych stosunków: W świecie jedna drugiéj unikać będzie, a więc i tu

powinnyście być z sobą zdaleka, rzekła do nas zdziwionych tym zakazem. A pensje zakonne, zapytałam pani H., w naszym kraju słyną wasze zakłady naukowe żeńskie, pod zakonnic opieką zostające na przedmieściu St Germain. — „Spytaj się tych twoich rodaczek które tam wychowane, to ci powiedzą że trzeba rodzić się hrabianką, księżniczką lub córką bankiera aby tam łaskawego doznać obejścia; dla ubogich i nietytułowanych, prześladowania i pokuty, winnie czy niewinnie. Wy sobie wyobrazić niemożecie jak u nas we Francji, wychowanie moralne stoi nizko. Jestem obowiązana przez mego wydawcę robić przegląd książek pisanych dla młodego wieku; na sto dzieł niby moralnych, jedno zaledwie dobre. Te nawet, które akademja uwieńcza, nie zawsze celują zacną myślą i dobrém obrobieniem przedmiotów."

Westchnęłam serdecznie, usłyszawszy to zdanie autorki francuzkiéj, autorki arcy katolickiéj do tego. Mój Boże! podstawą czytań naszych dzieci polskich, duszą ich wychowania, są te same dzieła francuzkie tak przez panią H. ganione. Doprawdy, Bóg nam we wszystkiém swe miłosierdzie okazuje; ta powódź francuzkiego piśmiennictwa, która stare i młode zalewa umysły nie popsuła nam przecie rodzinnego charakteru, czy go nienadwerężyła trochę?... Niektóre dzienniki żalą się że zaprowadzeniem wyścigów konnych lud francuzki wciąga się w anglomanją. Prawda że jest owych zabaw aż do unudzenia. Co chwila, na rozmaitych miejscach Paryża, możesz spotkać się z wyścigami. Nawet przedmieście Śgo Antoniego, zamieszkane po większéj części przez wyrobników, smakować zaczyna w tych gonitwach i nieraz idą kilkosusowe zakłady o tego lub owego konia tak przynajmniéj twierdzi *Charivari* dziennik który drwinkami i żartami więcéj pożytecznych prawd osłania, niż nie jedno pismo zakroju moralnego; przytoczę wam jednę anegdotkę wyścigową z Szariwari. Syn, dziesięcioletni uczeń wraca do domu bez czapki. „Coś zrobił z czapką?" pyta surowo ojciec. — „Papo, zakładałem się z Guciem na wyścigach..... i przegrałem. Niech się Papa nie gniewa bo i tak wielkie szczęście, że wracam ubrany; jużem był tylko w bucikach i w koszulce, alem się znów odegrał." — *High life! high life*, woła dziennik po angielsku, to świetne życie Albionu bardzo nas podniesie.

Tymczasem kiedy francuzi bawią się gonitwami konnemi, anglicy rozkoszują na operze włoskiéj. Mają już ich dwie, uwielbiona Patti, wróciła do Londynu, zawróciwszy głowę mieszkańcom Wiednia, teraz w skutek jakiejś intrygi zakulisowéj, odrzucona śpiewaczka z Drury Lane, pani... wybaczcie, zapomniałam nazwiska, staje się zawiązkiem trzeciéj opery w Londynie. Przeszłego roku piękna panna Yradier córka hiszpańskiego kompozytora w Madrycie, płynęła do Ameryki, gdzie była jako śpiewaczka wezwaną i zamówioną. Na tym samym okręcie znajdował się lord ***. Zachwycony powabną artystką, oświadczył się właśnie gdy okręt był pod równikiem i został przyjęty. Narzeczony położył warunek żeby p. Yradier porzuciła scenę, artystka zgodziła się i na to. Aż tu pewnego dnia, tygodni temu parę, lord *** czyta na afiszu angielskim, nazwisko swéj lubéj. Dalejże statkiem parowym do Londynu, wpada do dyrektora teatru, płaci wszystkie miejsca i zwraca zaliczenia, niewierną zaś porywa i prowadzi do ołtarza. Dziś, panna Yradier, jest Lady ***; *high life*, można powtórzyć z Szariwarim.

J. Janiszewska.

PODRÓŻE
BADACZA PRZYRODY
PO ŚRODKOWEJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

Włożono potém na głowę Njagoniego jedwabny kapelusz symbol władzy królewskiéj i przyobleczono go w czerwoną suknię. Ubrany w nią, dopiero zasiadł i po-

czął odbierać oznaki największego uszanowania od tych wszystkich, którzy przed tém nieszczędzili mu obelg i razów. Następnie rozpoczęła się sześciodniowa uroczystość; podczas niéj biedny król niemogąc się ruszyć ze swego mieszkania, musiał sam przyjmować wszystkich. Łatwo sobie wyobrazić tortury takiego życia wśrod wrzasku niesfornéj tłuszczy upojonéj arakiem, któréj obżarstwo i opilstwo było jedyną rozrywką. Mnóstwo ludzi z innych wiosek schodziło się aby uczestniczyć w téj uroczystości, wszyscy przynosili z sobą arak najgorszego gatunku, wino palmowe i żywność wszelkiego rodzaju, byli więc jak najlepiéj przyjęci. Stary król Glass po którego zgonie tyle łez wylano, obecnie był już na dobre zapomnianym, a nowy monarcha upadał z wyniszczenia sił, musiał albowiem ciągle być czynny aby ugościć każdego. Wszystko na tym świecie ma swój koniec, skończyły się zatém zapasy araku zarówno jak ubiegł czas przeznaczony na festyny, spokój zaczął powracać do koła, a jego królewska mość odzyskała wreście wolność zwiedzania swego państwa. Mpongwowie przez stosunki kupieckie z ludźmi ucywilizowanemi nabyli pewnéj powierzchownéj ogłady, która wprawia w podziw cudzoziemców. Wiedzą oni jak rozmawiać z hiszpanem, jak z francuzem a jak z anglikiem, umieją doskonale podchwycić słabostkę właściwą każdéj narodowości aby z niéj korzystać. Obejście ich na pozór pełne jest szczerości i słodyczy, są to jednakże w ogóle łotry pełne przebiegłości i fałszu. Znajdują się wprawdzie i pomiędzy niemi wyjątkowo dobre skłonności, jak to zobaczymy w dalszém opowiadaniu. Napotykałem nieraz kobiety i mężczyzn jak najlepiéj usposobionych, aby zaś dowieść że ludność murzyńska nie jest zupełnie złą i zepsutą, dość powiedzieć że człowiek biały może pomiędzy nią podróżować bezpiecznie, sam bez żadnego otoczenia. Znałem murzyna który przez swoje obejście zasługiwał na nazwę prawdziwego *dzentlimena* czarnego. Nie był on chrześcijaninem lecz częste stosunki z missjonarzami, sprawiły że miał w obrzydzeniu pogańskie okrucieństwa i zabobony. Umarł podczas bytności mojéj w jego kraju, przy śmierci przykazał aby niezabijano niewolników na jego grobie. Biedny Will Glass spoczął na cmentarzu missyjnym obok ludzi których kochał za życia, padli oni przed tém jeszcze ofiarą męczeńską miłości Chrystusa i bratniego poświęcenia. Gdy byłem w domu Will Glass'a opowiadał mi jak tęschni za missjonarzami przyjaciołmi swemi którzy powrócili do dalekich krajów. Szczególniéj téż żałował wielebnego Wilsona wspólnego naszego przyjaciela, obecnie sekretarza komitetu presbiterjańskiego missji zagranicznych w Ameryce. Pamięć pana Wilsona drogą jest mieszkańcom Gabonu. Tłumy ludu odprowadzały go do okrętu mówił Will Glass, myślałem że go już nigdy nie zobaczymy. Potém po chwili milczenia dodał: co ja to go już pewno nie ujrzę więcéj" i łzy oddawna pewno nieznane spłynęły wtedy po licu starego murzyna. Pan Wilson i niektórzy jeszcze inni missjonarze, zostawili po sobie tak głęboką pamięć nawet w sercach tych co niebyli ich uczniami. Żywność roślinna Mpongwów podobnie jak żywność innych pokoleń nadbrzeżnych, składa się z bananów, patatów, manioku, kukurujdzy i pistacji. Tych ostatnich jest wielka obfitość. Lasy napełnione bywają orzechami i dzikiemi owocami, niektóre z nich są bardzo dobre jak n. p. ananasy rosnące bez żadnéj uprawy w wielu częściach kraju. Pola uprawne są zawsze w pewném oddaleniu od wsi, czasem nawet o kilka mil angielskich bywają odległe, przez to téż w czas roboczy wioski pustkami stoją. Kobiety, mężczyzni i niewolnicy pracują pospołu aby zapewnić sobie zbiory przed porą deszczów. Dużo mają zazwyczaj do roboty przygotowując nowe miejsce do siewu. Mężczyźni wtedy ścinają zawadzające drzewa i palą je, kobiety zaś rzucają ziarno w ziemię poruszając ją wpierw, za pomocą małego ogrodniczego narzędzia które im zastępuje miejsce pługa. Jakkolwiek wiadomości rolnicze Mpongwów są bardzo ograniczone, miewają jednakże czasami piękne zbiory. Grunt tamtejszy wydaje najdroższe przedmioty handlu. Trzcina cukrowa rośnie bujnie na brzegach Gabonu, krzewy kafowe posadzone tam przed piętnastą laty przez wielebnego Wilsona, wydają dziś obfite plony, pewien jestem że inne zwrotnikowe płody równieby się do-

brze tam udały. Krajowcy jadają zwierzęta które żyją w ich lasach i rzekach jakoto: gazelle, antylopy, dziki etc. etc. Powierzchowna ogłada nie dozwala im żywić się małpami krokodylami szczurami i t. p. pozostawiają je swym niewolnikom. Zdarzało się często że strzelcy, którzy zabili jakie zwierze rzadkie lub mniéj znane, zjadali je zanim zdołałem się spostrzedz i ochronić skórę aby ją potém wypchać. Pobyt mój dość długi na wybrzeżach Gabonu, dozwolił mi zebrać wiele przedmiotów z dziedziny historji naturalnéj. Wysłałem cały ten zbiór [1]) a potém wybrałem się w podróż na przylądek Lopez. Pragnąłem niezmiernie zwiedzić *barakony* czyli miejsca targu na niewolników, jak również zapolować na dzikie bawoły znajdujące się obficie w tém miejscu.

(D. c. n.)

UBIORY.

Z ryciny mód dołączonéj do tego poszytu widzimy, że się w czesaniu włosów zaprowadza niejaka odmiana na korzyść dobrego smaku. Jakże bowiem regularnéj i świeżéj było trzeba twarzyczki, żeby ją módz upięknić tym czubem włosów *awanturniczo* podniesionych w różnych kierunkach nad czołem. Zważywszy jeszcze że przesada daleko jest pospolitszą niż umiejętne mody zastosowanie, pojąć łatwo, ile ten sposób układania włosów był prawdziwym pojęciom o piękności przeciwny. Z używania kapeluszy okrągłych wynikł zwyczaj spuszczania włosów z tyłu głowy na kark, czy to zamknąwszy je w siatkę czy téż ułożywszy w jeden wielki pukiel, jednak i to układanie włosów wyszło szybko z granic umiarkowania. Pęki ich doprowadzane sztuką do olbrzymich rozmiarów, spadając ciężko na kark, nasuwały myśl o stanie chorobliwym osoby którą obarczały i zupełnie usprawiedliwionėm się wydawało spostrzeżenie wieśniaka z dalekich prowincji przybyłego, który rozglądając się po naszych ulicach rzekł: co téż to kołtunów w Warszawie!

Otóż z ryciny widzimy, że chcąc ubrać głowę nie przestają wieńczyć ją po nad czołem, tylko nie tak przesadnie, a włosy zbiegając od czoła po nad ucho estetycznie dopełniają rysunku twarzy. Nie potrzebujemy, zdaje się, zalecać karbowania ich, gdyż każda kobieta wié że z tém do twarzy tak młodéj jak starszéj.

O kapeluszach nic nowego, wyjąwszy nowych nazw które dla okrągłych, coraz to używańszych, wynajdują. Bandyckie z piórami na boku i wysoką główką, dostać można po 60 do 80 złp. *Montpensier* nazywają te które mają rondo po bokach w górę podniesione, a są także według ubrania lub gatunku tańsze lub droższe. Ze względu na wygodę zwłaszcza w lecie i starsze osoby używają takich okrągłych kapeluszy, wybierając te które mają kształt prostszy i nie tyle co inne pretensjonalne ubranie.

Używane są na ulicę zwłaszcza przez szczupłe osoby, paletoty krótkie do figury, z dwoma fałdami w stan wpadającemi. Robią się często z tego samego co suknie materjału, ale czarne jedwabne są najużywańsze, bo się dadzą do każdego zastosować ubrania. Cena ich od 20 do 30 rubli i wyżéj dochodzi, jeżeli gatunek materji jest wyborowy i ozdoby kosztowne. Lecz są tańsze i ztąd dla każdego przystępniejsze paletociki z lekkiego czarnego sukna po cenie 70 i do 80 złp. których znaczny zapas sprowadził magazyn p. Włodkowskiego.

Na zapytanie jak ubrać u dołu czarną bareżową suknię odpowiadamy tutaj, że bardzo nam się podobało garnirowanie następujące: U samego dołu szła bareżowa falbanka rurkowa (tuyauté) niemająca więcéj nad pięć cali szerokości. Co trzy kontrafałdy, między którémi odstępy były dość znaczne, umieszczony był pasek z czarnego fularu przeszło cal szeroki, niedochodzący w dole do samego brzegu falbanki, a idący prostopadle w górę na wysokość trzech ćwierci łokcia. W miejscu gdzie się te pionowe pasy kończyły, szła w poprzek rusza suto fałdowana z tegoż fularu, mająca u brzegów wybijane ząbki. W sklepach pojawiły się muślinowe białe suknie z drukowanemi szlakami naśladującemi najcudniejsze desenie czarnéj koronki i odpowiedniemi dużemi chustkami na okrywkę, ale żadna z tych mglisto powiewnych sukien o ile wiemy, nie została sprzedaną. Najwięcéj rozkupują, żakonoty i muśliny z białemi prążkami lub drobnym, na czarném tle rzucikiem. Oglądałyśmy znaczny zapas takowych w magazynie p. Szlenkera. Muślinki są po cenie 3 złp. żakonoty po 2 gr 15 a bardzo gustowne w tymże rodzaju perkale po gr. 55 i 2 złp. łokieć. Wązki bareż grenadinowy dostać tam można po 3 złp. łokieć, popielaty zaś po 2 złp. gr. 15 i taniéj. Do sukien nie przezroczystych dają najwięcéj stanik zwany pocztyliońskim, taki jak go wi-

[1]) Zbiór ten doręczony został *Akademji nauk przyrodzonych* w Filadelfji (patrz roczniki téj akademji z 1856 roku).

dzimy u siedzącéj figury na rycinie tu załączonéj; z przodu zwykle ten stanik robią gładki tylko ubraniem odznaczają od pasa do ramion niby kształt kaftaniczka zwanego turkosem albo senoritą, jakiego już parę razy dawałyśmy wizerunek na naszych tablicach i rycinach. Widziałyśmy w magazynie pani Włodkowskiéj oryginalny stanik zrobiony według sukni, przeznaczonéj dla cesarzowéj Eugenji, który lubo z dwojakiéj ciężkiéj materji zrobiony, łatwo się da zastosować do ubrań naszych. Do tego włożyć naprzód trzeba stanik gładki pod szyję z białego muślinu z rękawami nie zbyt szerokiemi, a na wierzch dopiero rzeczony stanik który jest raczéj kanzutem z takiego jak suknia materjału tylko nie tak wązko ścięty do pasa i równie z tyłu jak z przodu zakończony trzema podłużnemi klapkami spadającemi na spódnicę w rodzaju klapek, jakie nasze wieśniaczki przy gorsetach noszą. Boki więc tylko i rękawy pozostają białe, stanik czyli kanezut obszyty na ramionach koronką tworzy epolety, z przodu zaś jest wycięty w kanty, tak że widzieć daje stanik spodni, lecz z tyłu do samego karku dochodzi gdzie jest także obszyty koronką. W sukni która służyła za wzór, boki spódnicy były z takiéj saméj materji jak stanik podspodni, co naturalnie, robiąc tenże z białego muślinu, zastosować się nie da. Krój pelerynek okrągłych, większych, przechodzących za pas, zwanych rotondami bardzo stosownie daje się użyć do sukien muślinowych i wszystkich lekkich, gdyż zaraz stanowi dogodne w czasie upału okrycie na ulicę. Stanik do tego może być marszczony pod szyję lub wycięty dla młodych osób. Spódnice teraz skromniéj niż w zeszłym roku garnirują, widziałyśmy wszakże wełniane z wrabianemi jedwabnemi szlakami, a do lekkich, falbanek rurkowych nie zarzucają. Zaczyna się w Warszawie upowszechniać zwyczaj podnoszenia sukni w festony wychodząc na miasto, żeby nią ulicy nie zamiatać; może téż tę pożądaną nowość sprawiły ładne kolorowe spódniczki, które warte są żeby je nieco pokazać, lecz większa część kobiet naszych trwa jeszcze w upodobaniu wleczenia za sobą z pół łokcia sukni po ogrodach spacerowych, co podnosi tumany kurzu wygryzającego oczy tych zwłaszcza, co siedzą na ławkach. Mężczyzni téż wyrzekają srodze na tę nieprzyjemność, jeden literat nawet zapytywał nas, czy nie pozwolimy mu wydrukować w Kółku artykułu przeciw *ogonom*, lecz i kobiety swoją drogą, choć to niby cierpliwsze *z urzędu* a co najprawdziwsza — z konieczności, narzekają (przyznać trzeba że ciszéj) że zamiast użyć świeżego powietrza i woni kwiatów, po co, jak twierdzą, przychodzą do ogrodów, wąchać muszą dym różnorodnych cygar. Ztąd wynika że tu jesteśmy zawsze w obłokach, tylko raz kurzu a drugi raz dymu.

Kończąc rzecz naszą o ubiorach dodamy jeszcze że kołnierzyki webowe, stojące z tyłu, a z przodu z wyłożonemi końcami, zawsze są noszone. (Dawaliśmy już dawniéj formę takiego kołnierzyka pod nazwą *col colin*. Do takich kołnierzyków widziałyśmy mankiety szerokie, takie jak te których znajduje się forma na tablicy dołączonéj do Majowego poszytu Ner 12, spięte na trzy guziki i przyszyte do namarszczonego lecz niezbyt szerokiego rękawka muślinowego *). Były także inne mankiety muślinowe i tych rysunek dajemy na dołączonéj tablicy pod Nem 17 które przy obecnie używanych wąskich rękawach do sukien, ładnie przystrajają rękę.

W magazynie p. Szlenkera znajduje się znaczny zapas koszul męzkich z surowego jedwabiu po cenie od 50 do 60 złp. U p. Thonnesa dostanie zawsze gustownych i najrozmaitszych ubiorów dziecinnych.

Objaśnienie tablicy haftów na miesiąc Czerwiec.

Ner 1. Ornat haftem atłaskowym na kanwie białéj półjedwabnéj. (Kawałek słupa który się nie zmieścił na drugiéj umieszczony stronie). Cały deseń wyszywa się włóczką amarantową, wszystkie zaś w pośrodku krzyżyki czyli rozetki filozelą szafirową. Boki ornatu można dać z białego półaksamitu, oszyć zaś do koła wązkim srebrnym galonkiem.

„ 2. Paletot z obłożeniem jedwabném.

„ 3 — 4. Pantofel z szarego płótna. Wyszycie koralowego drzewa atłaskiem, jedwabiem amarantowym, kratka zaś tasiemeczką srebrną.

„ 5 — 6. Tarcze z cyfrą.

„ 7 — 8. Szlareczki.

„ 9. Wyszycie tasiemeczką do burnusa kortowego.

„ 10. Burta na pokrycie gzémsu kominowego. Aplikacja różnokolorowa na czarném suknie. Kolory sukna na tę aplikację użytego, oznaczone na tablicy. Brzeg zębów oszywa się jedwabnym sznurkiem lub wązką frendzelką czarną.

„ 11 — 12. Kołnierzyk i rękawki; wyszycie tasiemeczką.

„ 13 — 14 — 15. Tarcze i cyfry.

„ 16. Szlarka.

„ 17. Rękawek biały muślinowy, obszyty koroneczką. Podszywa się dla mocy w taki sposób jak zacieniowane na wzorze i zapina z boku na trzy guziczki. Krój jego taki jak obcisłych rękawów do sukni, to jest z dwoma szwami.

*) NB. Daje się do ręki tą stroną przy któréj są oznaczone dziurki do guzików, a do przeciwnéj strony zaokrąglonéj przymarszcza się rękawek.



Moine Imp. r. St Louis en l'Ile 90. Paris

1051

KOŁKO DOMOWE

Czerwiec 1863